

# KAMIEŃ

CZYTELNA  
BIBLIOTEKI  
U.M.C.S.

LUBLIN

15.VI.1963

Nr 11 (273)

ROK XXX

CENA 2 ZŁ

## DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

LUBLIN — BIAŁYSTOK — KIELCE — RZESZÓW

### POPRZEZ SZCZEBLE I PIONY

BOLESŁAW BARTOSZEWICZ

**P**OWIADAJĄ: na pochyłe drzewo nawet koza skacze. Myślą zaś: jeśli rzecz jest popsuta, tak popsuta, że bez trudu to widać, wtedy nie trzeba być ani filozofem, ani slynąc z odwagi, by mówić o tym głośno i często. Powstaje oczywiście pytanie: Czy takie mówienie dla mówienia zawsze służy zmianie sytuacji na lepsze? — ale to już zupełnie inna sprawa. Jest tedy tak, że najrozmaitsi inspektorzy i obserwatorzy składający w tej lub innej formie sprawozdania z kształtowania się działalności kulturalnej w naszym kraju, do najczęstszych swoich spostrzeżeń zaliczają te, które — można sentencjonalnie określić, że „nie wie lewica, co robi prawica“.

Chodzi po prostu o to, że licząc fakty kulturalne na podstawie statystyk i wniosków władzy państwowej nie możemy bynajmniej dojść do żadnej konkluzji, do żadnego wniosku wiążącego. Z wyjątkiem oczywiście tego, że wszystkie owe dane są częściowe, a więc niedostateczne.

Dzieje się tak, ponieważ drugim mecenasem w dziedzinie upowszechniania kultury, równoległym do ministerstwa i jego terenowych agend w radach narodowych — i to zarówno w sensie moralnym, jak zwłaszcza materialnym — są związki zawodowe. Ze są i się tym zajmują — nierzadko sensownie, z rozmachem i z właściwą sobie hojnością — warto im pięknie podziękować. Nie można jednak podziękować zarządom określonych związków zawodowych, czy pewnym pełnomocnym związkowym działaczom za to, że poświęcili sporo energii dla pielęgnowania nieuzasadnionej niechęci do współpracy w dziedzinie upowszechniania kultury — wspólnie i łącznie z innymi partnerami, zwłaszcza zaś z tzw. pionem państwowym.

Znacie to sami najlepiej, drodzy Czytelnicy. Ileż to razy w waszych miejscowościach nie można było zorganizować sensownej imprezy artystycznej, choć zapraszał się znany zespół artystyczny z dobrym programem — sam, z własnej nie przymuszonej woli. Nie można było, gdyż brakło sali widowiskowej. Ale to była tylko częściowa prawda, bo okazywało się, że sala jest, tylko należy do związku zawodowego X, który jej nie ma zamiaru udostępnić szerszej publiczności. Nonsens? Z pewnością, ale jakże bardzo utrudniający życie! A przypominajcie sobie, ile to razy dziwiłście się, że na jednym placu waszego miasta buduje się miejski dom kultury, a na sąsiednim — powstaje zakładowa placówka k. o., która też nie będzie niczym innym, jak właśnie domem kultury. Stawało się dla was jasne, że coś tu jest nie w porządku, że rada narodowa nie może się porozumieć ze związkami zawodowymi, że dublują zamierzenia bez potrzeby.

Powstaje oczywiście pytanie: czy istotnie sprawa owego porozumienia się jest tak bardzo niemożliwa do załatwienia, czy rzecz mieści się zupełnie w kompetencjach zainteresowanych instytucji, czy może są jakieś inne powody, dla których tak trudno „zestrzelić myśli w jedno ognisko“? Odpowiem od razu. Żadnych takich mitycznych powodów nie ma. Całość sprawy mieści się w dobrej — lub nierzadko — złej woli obu kontrahentów. Bo proszę: dzięki dobrej woli obu kontrahentów na wielu ziemiach naszego kraju współpraca udaje się znakomicie. Zakładowe domy kultury stają się tam powoli placówkami oddziałującymi na znacznie szersze środowisko niż tylko na załogi fabryczne. W tych miejscowościach różne zakłady pracy uczestniczą w utrzymaniu — finansowym — placówki, a rada narodowa, niezależnie od współfinansowania, współtworzy również plany pracy takiego domu kultury. Z przyjemnością pokaże przykład Kamiennej Góry na Dolnym Śląsku. Jeszcze przed dwoma laty istniały tam dwa domy kultury. Jeden powiatowy, drugi zakładowy. Jeden robił mało, drugi nie robił więcej. Rozproszone siły, rozproszone środki. Ale był w tym ambaras, że dwoje nie chciało naraz. Wreszcie zechciało. Dziś wspólny międzyzakładowy dom kultury w Kamiennej Górze prowadzi działalność dla całego miasta. Nieźle prowadzi też pomoc instrukcyjno-metodyczną dla działaczy k. o. z całego powiatu. We wspólnej kasie

(Dokończenie na str. 2)

### Co się stało ze spuścizną literacką Józefa Czechowicza?

WACŁAW GRALEWSKI

**Z** chwila, gdy ukazała się na półkach księgarskich „Cyganeria” Wacława Mrozowskiego, nabrała aktualności sprawa spuścizny literackiej Józefa Czechowicza. Co się z nią stało? Wiadomo jest, że to, co ukazało się w druku przed wojną, i to, co po wojnie wydał „Czytelnik”, a teraz do druku przygotowuje Wydawnictwo Lubelskie — to tylko część dorobku wybitnego poety.

Czechowicz był płodny — pisał dużo. Wymagania stawiał sobie wielkie, toteż sporo jego utworów leżało w teczkach, oczekując ostatecznej korekty, wyszlifowania, wyczyszczenia albo i zmian zasadniczych.

Autor „ballady z tamtej strony” nie wrzucał do kosza. Często ze słabego, jego zdaniem, wiersza wybierał poszczególne metafory, a nawet pojedyncze słowa, i umieszczał je w nowym poetyckim porządku zdań. Lubilił odczekać i spojrzeć na dawno napisany utwór z perspektywy czasu. Miał w sobie coś z malarza, który usiłuje znaleźć odpowiedni dystans, z którego można we właściwy sposób patrzeć na obraz. To patrzeć z dystansu pozwalało mu na robienie właściwych poprawek.

Wiem o tym dużo, bo często dyskuutowaliśmy na ten temat.

A oprócz pracy jak najistotniej twórczej, Czechowicz pisał na potrzeby bieżące. W wielu pismach codziennych i periodycznych umieszczał felietony, artykuły, wypowiedzi na temat sztuki, wiersze okolicznościowe, eseje i krytyki. Duża część tych prac podpisana została licznymi kryptonimami. Toteż teczki pisarskie Józefa Czechowicza były obfite i napeęczone. Lubilił porządek i ład w pracy literackiej, a nawet dziennikarskiej, choć sam z natury był rozwichrzony i raczej nieskoordynowany wewnętrznie.

Oprócz teczek z utworami oryginalnymi i przekładowymi miał teczki z wycinkami prasowymi, artykułami, które wzbudziły jego zainteresowanie, oraz notatkami, które miały charakter zapisków na temat zrodzonych pomysłów. Te ostatnie dotyczyły zarówno koncepcji powieści, utworów scenicznych, wierszy lirycznych, czy też luźnych poetyckich myśli, co do których żywił obawę, że mogą mu utonąć w niepamięci.

Jeszcze jedno. Czechowicz miał wcale nieprzeciętne uzdolnienia plastyczne, które uzewnętrzniał w formie wycinanek ludowych. Wycinał dużo i z pasją twórczą. Wycinanki naklejał na papier i składał w teczkach.

Ponadto jego archiwum uzupełniała niezmiernie obfita korespondencja przeważnie literacka, oraz liczne fotografie. Lubilił pozować i lubił sam robić zdjęcia.

To szkicowe nakreślenie jego osobistego archiwum, acz bardzo pobieżne, wskazywałoby na obfitość materiału zarówno twórczego, jak i mającego duże znaczenie dla biografów.

Czechowicz interesował się wieloma zagadnieniami. Wśród nich na przykład interesował go psychologiczny problem maniakta. Z zawodu był nauczycielem szkół specjalnych i zawodowo często rozsupływał wszelki nienormalności dziecięcych. Wśród „odchyleńców” dojrzałych interesował go maniak.

Często do redakcji pisma codziennego, którego byłem kierownikiem, różni pomyleni autorzy nadsyłali książki z prośbą o recenzje. Książki te, wydawane własnym sumptem, często z dość rygorystycznie zebranych oszczędności, reprezentowały szeroki wachlarz tematyczny. Od typowych grafomanów do zbawców świata, którzy odkryli niezawodne recepty na uszczęśliwienie ludzkości. Osobną grupę stanowili wynalazcy. Pamiętam jedną taką broszurę o nieśmiertelnym perpetuum mobile, które miało ludzkość wyzwolić od wszelkich energetycznych kłopotów. A ponieważ urząd patentowy odmówił rejestracji, więc autor za ostatnie grosze wydał dzieło i ofiarował je bezpłatnie ludzkości.

Czechowicz wymógł na mnie, że wszystkie tego typu „dzieła” będę mu dawał, a później, gdy mieszkał w

(Dokończenie na str. 5)



J. Chmielowski — Czytająca (olej) V. „Szczecińska wystawa” na str. 10



FRANCISZEK KOTULA

W KONCU kwietnia odbyła się w Lublinie narada przedstawicieli 4 wydziałów kultury i kustoszów działów etnograficznych 4 muzeów okręgowych, zorganizowana z inicjatywy lubelskiego Wydziału Kultury PWRN.

W referacie wygłoszonym przez kierownika katedry etnografii UMCS, prof. dr Romana Reinfussa wydatniały się dwie zasadnicze troski: jedna, aby przez zorganizowane a intensywne badania udokumentować to, co jeszcze pozostało, uratować zachowane zabytki przez ich pozyskanie do muzeów — i to było wypowiedziane pod adresem muzeologów. Przedmiotem drugiej troski był postulat skierowany do wydziałów kultury, zwłaszcza do referatu popierania twórczości ludowej, by podtrzymywać, o ile się da, stare „dyscypliny” ludowej plastyki, a równocześnie stwierdzać i popierać nowe formy i wyrazy, tworzące się w nowej, żywej rzeczywistości.

Przedstawione powyżej dwa zasadnicze problemy kryją w sobie bardzo wiele aspektów różnego rodzaju i różnej rangi, które też w toku dyskusji zostały podzielone na trzy grupy i przeznaczone na trzy „specjalistyczne” narady. Postanowiono, że niezależnie od lubelskiej, odbędzie się narada w Kielcach, w której wezmą udział kierownicy czterech wydziałów kultury; zostanie tu omówiona przede wszystkim rola referatów popierających plastykę ludową, w szczególności zaś współpraca wydziałów z muzeami okręgowymi w wyznaczaniu polityki w stosunku do twórczości ludowej.

I wreszcie, trzecia grupa zagadnień, już ściśle muzealnych, jak najbardziej praktycznych — połączona z objazdem terenu i przeglądem zabytków etnograficznych — miała być omówiona na naradzie w Rzeszowie. W swoim czasie napiszemy o niej, teraz wróćmy do narady lubelskiej.

Przedstawiciele czterech wydziałów kultury i muzeów okręgowych utworzyli „Komitet Porozumiewawczy”, któremu patronuje i przewodzą katedra etnografii UMCS, personalnie jej aktualny kierownik, prof. dr Roman Reinfuss. Z Komitetu wyłoniono rodzaj prezydium, czy zespołu wykonawczego z przewodniczącym prof. dr R. Reinfusem i jego zastępcą, doc. F. Kotulą. Do prezydium wchodzi przedstawiciel muzeum okręgowego w Białymstoku oraz wszyscy referenci wydziałów kultury.

Po załatwieniu spraw organizacyjnych przystąpiono do zagadnień najistotniejszych, naukowych. Ustalono tak założenia, jak i tematy wspólnych badań międzywojewódzkich, niezależnie od regionalnych, indywidualnych.

Jest faktem że linie granic administracyjnych najczęściej nie liczą się z granicami regionów etnograficznych, a więc kulturowych. Na skutek tego wiele regionów zostało pociętych nawet na kilka części, weszły więc w skład kilku województw. Tedy badania nad kulturą ludową nie powinny i nie mogą kierować się granicami administracyjnymi. Dla ułatwienia badań będą tworzone wspólne ekipy badawcze z pracowników naukowych odpowiednich muzeów okręgowych (względnie i regionalnych). Przeprowadzą one wspólne badania nad całym regionem kulturowym. Dla przykładu: chociaż Łasowiaci w znacznej mierze zamieszkują tereny województwa rzeszowskiego, pokażna ich część znajduje się w województwie rzeszowskim. Znowuż grupa sandomierska z administracyjnego dziś obszaru województwa kieleckiego miała silny wpływ na tereny na prawym brzegu Wisły a więc leżące w województwie rzeszowskim. Podobnie jest i na innych terenach. Hasłem mieszanych ekip będzie „nie uznajemy granic administracyjnych”!

Inne zjawisko, również etnograficzne, a występujące we wszystkich czterech województwach, to „puszcza”, pojęcie bardzo złożone i mogące być rozpatrywane z różnych stanowisk. „Puszcza” — której znaczne połacie zachowały się do dziś — dzięki specjalnym warunkom życia, była przyczyną powstania kultury o swoistym charakterze, nazywanej niezależnie od położenia geograficznego „puszczańską”. Ma więc ludową kulturę puszczańską województwo białostockie w Puszczy Augustowskiej, kieleckie w Radomskiej, lubelskie w Janowskiej, w rzeszowskiej w Sandomierskiej. Obok licznych podobieństw w poszczególnych regionach wytworzyły się jednak znaczne różnice, gdzie bowiem nie ma identycznych warunków bytowania.

Postanowiono: w r. 1964 wszystkie działy etnograficzne muzeów okręgowych, dobierając sobie pracowników spoza muzeów, przeprowadzą badania na terenie swoich puszczy. W badaniach zostaną pominięte aspekty mniej, z puszcza związane. Szczególną uwagę zwróci się na folklor, wielostronne wykorzystanie lasu dla celów życiowych itd. Po zakończeniu badań, po uporządkowaniu zebranego materiału i napisaniu sprawozdań przez uczestników zespołów badawczych zostanie zorganizowana sesja naukowa, której zadaniem będzie wykazanie charakteru poszczególnych puszczy, podobieństw i różnic. Owocem tych wielofrontowych badań winna być syntetyczna, wspólna publikacja.

Z powyższych względów w budżetach muzealnych na rok 1964 winny znaleźć się odpowiednie pozycje, przede wszystkim na pokrycie badań. Inne zjawisko, które występuje w trzech wschodnich województwach, będącym wynikiem długotrwałych procesów historycznych — to pogranicze etniczno-kulturowe polsko-ruskie. Ten problem — zjawisko to także temat równoczesnych badań ekip naukowych trzech muzeów okręgowych, sesji naukowej i wspólnego wydawnictwa.

Na naradzie zostały poruszone i przedyskutowane jeszcze inne zagadnienia, wiążące się jak najściślej z akcją badania i ochrony kultury ludowej. Wyszło więc między innymi sugestie ustanowienia konserwatorów zabytków etnograficznych, na wzór konserwatorów zabytków archeologicznych, podległych, jak wiadomo, głównym wojewódzkim konserwatorom zabytków. Chodzi bowiem o to, aby cenne, nieruchome zabytki kultury ludowej mogły być wzięte pod ochronę prawną i zabezpieczone do czasu ewentualnego przeniesienia do muzeum typu skansenowskiego. Przyjęto jednocześnie, że takimi konserwatorami powinny być kierownicy działów etnograficznych muzeów okręgowych.

Jest stwierdzonym faktem, że nie tylko muzea regionalne, ale i okręgo-

we, cierpią na brak odpowiednich kadr naukowych, zwłaszcza działy etnograficzne, mimo że katedry etnografii rękoczynnie wypuszczają spory odsetek specjalistów. Wiąże się z tym właściwej dyscypliny naukowej. Trzeba aby nowych, młodych etnografów pozyskać dla muzeów, narada sugeruje dyrekcjom i kierownictwom muzeów tworzenie stypendiów fundusyjnych, z czym z kolei wiąże się łatwiejsze zdobycie mieszkań dla stypendystów.

Zgodzono się na naradzie, że chociaż konkursy nie są idealnym środkiem podtrzymywania twórczości ludowej należy je jednak kontynuować. Trzeba tylko je uzupełniać dobrze zorganizowanymi kiermaszami pkonkursowymi, uwzględniając bodziec materialny. Obok tego należy szukać jeszcze innych dróg, zależnie od warunków lokalnych.

Zgodzono się na naradzie, że chociaż konkursy nie są idealnym środkiem podtrzymywania twórczości ludowej należy je jednak kontynuować. Trzeba tylko je uzupełniać dobrze zorganizowanymi kiermaszami pkonkursowymi, uwzględniając bodziec materialny. Obok tego należy szukać jeszcze innych dróg, zależnie od warunków lokalnych.

## Poprzez szczeble i piony

(Dokończenie ze str. 1)

znalazł się wspólny grosz: 865 tysięcy zł rocznego budżetu!

A wspólne akcje określonych terenowych rad narodowych i związków zawodowych zmierzające do popularyzacji plastyki, tak kapitalną rolę odgrywającej w walce o piękno na co dzień, o estetyczny wygląd ludzi i ich otoczenia? A powstawanie wspólnymi siłami czytelników klubów itd.? To są fakty, które zupełnie wyraźnie, ponad wszelką wątpliwość, dowodzą, że właściwie wyłącznie od dobrej woli terenowych instancji związków zawodowych i terenowych rad narodowych zależy dobra współpraca obu tych partnerów. Dodajmy: współpraca, która tak potrzebna jest dla przyspieszenia procesu upowszechnienia kultury w Polsce powiatowej i gromadzkiej. A więc tam, gdzie to jest najpotrzebniejsze.

Tym bardziej zatem nie wolno usprawiedliwiać tych związków zawodowych, tych rad zakładowych czy tych rad narodowych, które na dobrą sprawę marnotrawią siły i środki bezsensownie dublując pomysły czy separując się od szerszych potrzeb społecznych. Na przedmieściu Bydgoszczy znajduje się np. dom kultury zakładów „Belma”. Mógłby być, praktycznie rzecz biorąc, dzielnicowym domem kultury. Ale nie jest, gdyż nie mogą z niego korzystać okoliczni mieszkańcy, jeśli nie są związani z „Belmą” obowiązkiem służbowym. Nonsens? A jakże, ale w sumie dość tragiczny, bo w ten sposób ludność dzielnicy jest pozbawiona imprez artystycznych, wieczorów literackich i w ogóle spotkań ze sztuką.

Najprościej jest powiedzieć, że najwyższy czas, by sytuacja ta zmieniła się wreszcie. Istotnie. Czas najwyższy. Wydaje mi się jednak, że to zawołanie nie wystarczy. Tu powinien być stworzony konkretny program. W lutym br. — o czym wspominałem w swoim poprzednim artykule drukowanym w „Kamieniu” z dnia 15 maja br., pt. „Od bohaterskiej jedności do normalnej współpracy”

## CO PRZYNIOSŁY RZESZOWSZCZYŃNIE DNI MAJOWE

W kilkunastu wsiach i miasteczkach otwarto nowe biblioteki, czytelnice, ośrodki kulturalne. Biblioteki wiejskie wraz z czytelniami otrzymały: Obarzyn (pow. Jasło), Łatoszyn (pow. debicki), Skopanie (pow. tarnobrzelski). Nowe biblioteki wiejskie powstały: w Górze Motycznej (pow. debicki), Cierpiszu (pow. lańcucki), Kosienicach (pow. niski), Woli Zyrardowskiej (pow. debicki). Dwa punkty biblioteczne i czytelnice otrzymało miasto Mielec, zorganizowano również kino oświatowe w Gliniku Mariampolskim oraz wiejski ośrodek kulturalno-oświatowy w Kamieniu (pow. niski).

Wyliczenie powyższe nie obejmuje bynajmniej wszystkich obiektów, które powstały w Rzeszowskiem w czasie tegorocz-

nych Dni Oświaty, Książki i Prasy. Otwierano je w uroczystej atmosferze przy dużym zainteresowaniu społeczeństwa. Wypada zaimponować, że zainteresowanie to towarzyszyć będzie codziennej pracy nowo otwartych placówek.

W porównaniu z latami ubiegłymi — pożyteczną innowację zastosował „Dom Książki” organizując kiermasz w trzech miastach, a nie jak to było dotychczas praktykowane, tylko w Rzeszowie. Barwne kiermaszowe stoiska rozbito w tym roku w Rzeszowie, Stalowej Woli i Łańcucie. Niestety nowości nie było zbyt wiele, ale to już rezultat trudności z papierem. Również udział pisarzy w kiermaszach nie mógł zadowolić miłośników książki; właściciel jedynie kiermasz lańcucki zyskał godną oprawę: podpisywali tu swe utwory trzej popularni autorzy, laureaci ogólnopolskiego konkursu pod nazwą „Złoty Kłosa dla twórcy, srebrny dla czytelników”: Stanisław Wygodzki, Wojciech Żukrowski i Roman Turak.

W konkursie tym, którego uroczyste zamknięcie (19 maja w Łańcucie) zbiegło się z wojewódzkimi uroczystościami „Dnia Dziełacza Kultury”, dobrze spisali się czytelnicy ze wsi lańcuckiej (dwa młodych rolników z Hakszawy zdobyło symboliczne srebrne kłosa), a powiatowa biblioteka

ogłoszone zostały zasady współdziałania ministra kultury i sztuki oraz przewodniczącego Centralnej Rady Związków w zakresie upowszechniania kultury. Przede wszystkim jest w tym ważnym dokumencie mowa o tym, że Prezydium CRZZ i minister kultury i sztuki, ustalają wspólnie wieloletnie programy i plany pracy w dziedzinie upowszechniania. Z tego naturalnie wynika — o czym w dokumencie wyraźnie jest mowa — że wieloletnie i roczne programy i plany działalności ustalają wojewódzkie i powiatowe komisje związków zawodowych wspólnie z organami do spraw kultury rad narodowych.

Konkretnie plany rozwoju sieci placówek kulturalno-oświatowych, bibliotek i kin, plany inwestycyjne i programy użytkowe budowania placówek będą, w myśl „zasad” wspólnie zatwierdzały terenowe instancje związków zawodowych i rady narodowe. Związki zawodowe winny w myśl „zasad” udostępniać własne placówki kulturalne, biblioteki i kina ogółowi ludności, a w miarę potrzeby — na wniosek organu do spraw kultury prezydium rady narodowej i za zgodą wojewódzkiej komisji związków zawodowych — związkowe domy kultury będą wykonywać zadania powiatowych domów kultury w zakresie instruktażu i poradnictwa kulturalno-oświatowego.

Resort kultury zaś wziął na siebie obowiązek udzielania pomocy i fachowych porad placówkom kulturalno-oświatowym, bibliotekom i kinom związkowym. Dodajmy jeszcze, że terenowe komisje związków zawodowych i wydziały kultury rad narodowych zostały zobowiązane do praktycznego współdziałania w sprawach finansowych, do właściwego wykorzystywania środków pieniężnych płynących z kas zarówno związkowych, jak zakładów pracy i rad narodowych.

Dokument taki był naprawdę potrzebny. Obliguje on do faktycznego współdziałania terenowe agendy związków zawodowych i rad narodowych — niezależnie od ich dobrej czy złej woli. I wszystko byłoby w porządku, gdyby nie to, że od podpisania „zasad”

minęło już kilka miesięcy, a w wielu regionach nie zastanowiono się nad wprowadzeniem ich w życie. A tymczasem nowe zasady współpracy między resortem kultury a związkami zawodowymi opierają się na sumie postulatów, które właśnie w terenie, bezpośrednio w miastach, miasteczkach, osiedlach — muszą być realizowane. W miastach wojewódzkich — jak się zdolałem zorientować jeżdżąc po kraju — na tzw. wojewódzkim szczeblu panuje w zasadzie zgodny pogląd co do sensowności i konieczności współpracy. Podczas wspólnych rozmów przedstawiciele wydziałów kultury PWRN i WKZZ pada wiele słów niepokoju z powodu oporów poszczególnych zakładów pracy, czyżby urzędniczego stosunku do całej sprawy niektórych powiatowych rad narodowych. Ale wojewódzki szczebel to w końcu dopiero punkt wyjścia, a nie doświadczenia. I dlatego muszą być podjęte kroki gwarantujące, że współpracę stanie się faktem na szczeblu najniższym, lecz za to najważniejszym.

Przede wszystkim winny się ożywić powiatowe komisje koordynacyjne, których przecież głównym zadaniem jest przełamywanie obopólnych niechęci, ustalanie zasad, kierunków i zakresu współdziałania nie tylko resortu kultury i związków zawodowych, lecz w ogóle różnych organizacji i instytucji, w szerszym lub węższym zakresie zajmujących się upowszechnianiem kultury. Jak dotychczas, różnie to wygląda.

Oczywiście, same komisje jako takie przełomu nie dokonają. Chodzi o robotę, a nie o zebrania i uchwały. Wydaje mi się jednak, że komisje koordynacyjne mogą i powinny stać się stosownym forum dla wymiany uwag i postulatów, ujawnienia pretensji i pomysłów poszczególnych kontrahentów, z których pionierzy związków i państwowy odgrywają najważniejszą rolę. Na pewno więc komisje te mogą pomóc, nigdy zaś zaszkodzić. Mogą — jeśli będą dobrze i systematycznie pracowały — stać się autorem wielu twórczych pomysłów potrzebnych dla ożywienia kulturalnego miasteczek, osiedli, wsi. Pomysłów, które będą wprowadzane w życie wspólnymi siłami i środkami.

Bolesław Bartoszewicz

publiczna z Łańcuta zajęła w skali kraju drugie miejsce. Laureatką konkursu została Marejanna Fornalska. Jej książka „Pamiętnik matki” uznano za najlepszą spośród piętnastu utworów współczesnych pisarzy.

Następnie czytelnicy kolejno wyróżnili Wygodzkiego — „Koncert zyczeń”, „Uroczystości”, „Polskie Piastów”, Brazy — „Uroczystości”, „Zukrowskiego — „Córce”, Konkani — „Złoty Kłosa”, ogłoszony przez Kultury i Sztuki i Ministerstwo Kultury i Sztuki — obalili ostatecznie mit o achronicznych zainteresowaniach wiejskich czytelników, dowiedli, że czytelnicy ten odhłora dojrzałym i wrażliwym, szukającym trafności sądów. Okazało się, że pogląd o braku zainteresowania wiejskich czytelników dla współczesnej literatury jest w całości błędny.

Z inicjatywy Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej odwiedziło Rzeszowszczyznę w maju kilkunastu pisarzy. Trzeba tu również odnotować piękny cykl wydawnictwa „Iskry”, które w pod redakcją „Domu Książki” otwierają 8 rzeszowskim szkołom Tysiąclecia 1945-tomowe biblioteczki.

Z. Wawszczyk



# ROZMOWA Z PROF. KAZIMIERZEM WYKĄ



poezję polską odrodzić. Czy te prognozy uzyskały potwierdzenie?

W.: I tak, i nie. Prognoza się potwierdziła. W ostatnich latach obserwuje się zjawisko, które przy innej okazji nazwałem „zmarłych wstaniem Młodej Polski”. Bursa, Czyż, Iredyński — to Przybyszewski na raty, a proza Iredyńskiego — wypisł wymaluj przybyszewszczyzna czystej wody. Młodzi pisarze tego kręgu poza dekadentyzm nie wyszli, dali mu tylko nowe argumenty. Czy to aprobują? Nie, ale taka jest sytuacja poważnej części młodej generacji literackiej. Patrząc z perspektywy, od roku 1890 trwa jedna i ta sama epoka poezji. Źródło genetyczne poezji współczesnej — rewolucja symbolizmu — jest rewolucją, która owocuje w poezji po dzień dzisiejszy. Nawet twórcy i teoretycy awangardy — Peiper, Przyboś — wyrastają również z tego pnia.

To byłoby tak. A nie? Nie wydaje mi się, żeby jakaś nowa propozycja została sformułowana. Trwa „mała stabilizacja” poezji polskiej. Jest to poezja zbyt wąskiego gardła, poezja pseudofilozoficzna, bezkształtna miazga skojarzeniowa, bez względu na nazwiska, które ją sygnują.

K.: Pańska działalność krytyczna, myślę o „Rzeczy wyobraźni”, wyrażała do pewnego stopnia krytykę własną młodej generacji. Jakie przyczyny słabości młodej krytyki widzi Pan profesor, któremu za wdzięczamy „krakowską szkołę krytyków”?

W.: Z tą „krakowską szkołą krytyki” to jest przesada. Za dużo się mi przypisuje, bowiem siedemdziesiąt procent to sprawa talentu i przygotowania tych, którzy przyszli na moje seminarium. Błóński, Kijowski, Flaszyn, Kwiatkowski, Puzyna przyszli na uniwersytet już ukształtowani. Pamiętam, jak w czasie egzaminów wstępnych przybiegł do mnie kiedyś prof. Karol Estreicher i ciągnął do sali, gdzie odbywał się egzamin. — Co jest, pytam. Jest tu taki — powiada prof.

Estreicher — co odróżnia Platona od Plotyna. Był to Jan Błóński. Ci krytycy mogli być bardami socrealizmu i schematyzmu. Wyńczyli ich ktoś inny. Tak samo później młodym pisarzom patronowali różni ojcowie i wujaszki. Sądzę, że słabością krytyki jest przede wszystkim słabość myśli teoretycznej i brak odwagi w budowaniu konstrukcji programowych; ponadto doświadczenia bezpośrednich poprzedników do tego nie zachęcały.

K.: Przed wojną należał Pan do czołowych krytyków młodego pokolenia. Miał Pan swoje hierarchie, swoje oceny poszczególnych dzieł i pisarzy rówieśnej generacji. Czy do dziś zostały się one, czy uległy one jakimś modyfikacjom?

W.: Rewizje generalne są poza zasięgiem człowieka. Czy stawiałem na nazwiska, które się sprawdziły? Dla mnie najbliżsi byli w rówieśnym mi pokoleniu Andrzejewski i Miłosz. Sądzę, że tu pomyłki nie popełniłem. To pokolenie od razu zarysowało się jako całość, z miejsca określili się indywidualności. Wszystkie one zostały się, zachowały i wykształciły swoje różnice: Gombrowicz, Andrzejewski, Miłosz. Bliżsi byli mi Schulz przez związek z symbolizmem. Nie bardzo przed rokiem 1939 chwyciłem sens prozy Gombrowicza, „Ferdynand” mogła dziwić. Ze się na nie nie poznałem to była moja pomyłka.

K.: Patriotyzm lokalny, choć nie tylko, każe zapytać Pana, autora najlepszej pracy o literę Czechowicza, o rolę tego poety. Swego czasu mówią w lubelskiej „Norze” o poezji dwudziestolecia, stał się Pan Czechowiczem tuż po Leśmianie i Paulskowskiej. Jak jest uzasadnienie tak wysokiej rangi autora nuty człowieczej?

W.: Pozycja Czechowicza nie maleje, nie niknie, a rośnie. Obok awangardy i „Skamandra” wyznacza on w dwudziestolecie trzecią drogą poezji polskiej. Poetyka Czechowicza stanowi melanż różnych tradycji, ale prymat

mają wzorce symbolizmu, oczyszczone przez awangardowe postawy oszczędniejszego słowa. Tu ma uzasadnienie moja formuła Czechowicza jako „lapiarnego wizjonera”. Czynnikiem decydującym o rządzie dusz swojego pokolenia, a także o wysokiej ocenie przez nas, była czystość moralna liryki Czechowicza, czystość źródeł jego sztuki. Te wartości wynoszą Czechowicza ponad współczesnych i decydują o przydatności jego doświadczeń dla nowych pokoleń poetyckich.

Pytał i notował  
Tadeusz Klak

## Czechowicz i inni BOHDAN KRÓLIKOWSKI

TOM wspomnień Wacława Mrozwoskiego zawiera wycinek z życia cyganerii literacko-artystycznej w Warszawie w latach 1932—1938. Bohaterami wspominków jest grupa młodych poetów — przyjaciel autora: Stanisław Plekacz, Henryk Dominiński, Bronisław Ludwik Michalski, Józef Lohodowski oraz Józef Czechowicz. Na dalszym planie występują „Zarysisci” (J. Zagórski, Cz. Miłosz, J. Putrament), T. Peiper, J. Tuwim, K. T. Galczyński, M. Pawlikowska oraz troche nie-pestów.

Atmosfera książki stwarza złudzenie czegoś znanego, swojskiego, czytanie nie razi. Może dlatego, że wszystkie cyganerie świata od Margeryt poprzez Przybyszewskiego aż do St. Grochowiaka i mu „Współczesnych” są zasadniczo, w podstawowych elementach, niezmiennie. Toteż książka Mrozwoskiego przypomina cokolwiek „Meich współczesnych” Przybyszewskiego. „Znaszli ten kraj” Boya czy też „Sprzed pół wieku” Alfreda Wysokiego.

Grupa przyjaciół Mrozwoskiego była swego rodzaju tłem dla Czechowicza, który co prawda nie wyszedł z ich grona, raczej był jego organizatorem, ale niemniej można powiedzieć, że autor „Starych kamieni” do cyganerii należał. W okresie opisywanym przez Mrozwoskiego trzymał się zresztą nieco na uboczu. Może dlatego, choć zapewne i ze względu na bliską przyjaźń, Czechowicz jest w omawianej książce wyraźnie wyeksponowany, mimo że miejsca we wspomnieniach Mrozwoskiego nie zajmuje stosunkowo wiele.

O Czechowiczu pisze Mrozwowski cokolwiek odmiennie, niż o reszcie swoich przyjaciół. Z pewnym dystansem, z pewnym nawet podziwem. Bez poufałości, choć ze znaczną dozą przyjaźni. Autor książki wiele zawiaduje Czechowiczowi, który wprowadził go w życie środowiska, w swoje życie, który otoczył młodego chłopca swego rodzaju patronatem i w różny sposób mu pomagał, od pięciolotowej pożyczki aż do znalezienia pracy. Dlatego też o Czechowiczu pisze Mrozwowski pro domo sua. Wynika to zresztą z pamiętnikarskiego charakteru jego książki. Niemniej w „Cyganerii” nie ma właściwie portretu autora „nuty człowieczej”. Sylwetka jego jest szkicowana bardzo urywkowo i chaotycznie. Nie wiem, czy Czechowicz był rzeczywiście taki, jakim go ukazuje „pan Wacio”, ale wydaje mi się, że zarysowane przezeń cechy osobowości Poety będą jakiegoś komentarza czy lektury uzupełniającej dają portret niepełny, a tym samym fałszywy.

Józef Czechowicz, mimo że wyraźnie ciąży nad całością wspomnień Mrozwoskiego zajmuje w nich stosunkowo mało miejsca. O wiele więcej przekazuje go autor na opis własnych losów — zwłaszcza w dwu pierwszych rozdziałach — i na odzwierciedlenie niektórych stron bytowania swoich przyjaciół.

Perypetie autora, rozpoczęte szkolnym jeżdżeniem poetyckim terminem, przedstawione są w mniej więcej chronologiczny sposób w pierwszych czterech rozdziałach. Dwa rozdziały następne („Śmierć smutnego poety”, a zwłaszcza „Pod znakiem Płomyka”) są właściwie dodatkami. Rozdział końcowy („Zniża się wiecór świata tego”) jest podsumowaniem i zanknięciem. Wyraża się w całości książki większą refleksyjnością i smutkiem. Dochodzi tu autor do bardzo pesymistycznych wniosków, zwłaszcza w ocenie rzeczywistości międzywojennej. Zasadniczy zrab książki (tzn. pierwsze cztery rozdziały), mimo opisywanej biedy „hudyh literatów”, ich codziennych kłopotów, głównie finansowych, to właściwie narracja raczej pogodna. Nie pozbawiona humoru, co prawda niekiedy trochę wiesielczego.

Wspomnienia Mrozwoskiego są dosyć silnie zbeletryzowane. Czyta się je (mimo pewnych usterek stylu) lekko i, trzeba przyznać, z wyraźnym upodobaniem. (Coś, beztraska bywa czasem zaradliwa). Jeżeli chodzi o ich wartość źródłową, dokumentarną, wnoszą wiele. Dają dużo szczegółów z życia opisywanych postaci i środowiska jako całości, rekonstruuja elementy atmosfery środowiskowej. Obraz całości, jakiejś syntezie trudno się w nich jednak doszukiwać.

Scierają się tu dwie tendencje, dwa sposoby pamiętnikarskiej narracji. Pierwszy z nich to ukazywanie własnego życia i własnych przygód, drugi to usuwanie się w cień dla tym pełniejszego opowiedzenia nie tego, co się przeżyło, ale co się widziało. (Klasykiem przykładem jest w pierwszym wypadku Pasek, w drugim Kitowicz).

Mimo niedostatków „Cyganeria” jest pamiętnikiem bardzo ciekawym i trzeba przyznać wartościowym.

Książkę wydano starannie. Dużymi jej plamami są: postowie R. Rośnaka i indeks osób, bardzo przydatny w tym typu publikacji.

Liczne ilustracje; poza zdjęciami poetów (ciekawe portrety Czechowicza) są również podobizny ich rękopisów, których, jak się zdaje, p. Mrozwowski posiada dosyć znaczne zasoby.

\* Wacław Mrozwowski: „Cyganeria”. Wydawnictwo Lubelskie, 1963, str. 354, cena 25 zł.

## Trzeci świat

DOMINIK HORODYŃSKI

JEST to obecnie jeden z „modnych” terminów, który coraz częściej pojawia się w rozważaniach o zmieniającej się mapie politycznej świata. Trzeba jednak pamiętać, że jest to termin dość wieloznaczny, wyrażający nieco inną treść w publicystyce krajów zachodnich, inną u nas. Nie określa on również zjawiska ściśle politycznego, lecz raczej społeczno-gospodarcze.

Politycznie świat współczesny dzieli się na trzy części: państwa socjalistyczne, kapitalistyczne oraz neutralne, takie, które — choć pod względem ustrojowym należą do zbliżone są do jednego z dwóch pierwszych ugrupowań — nie chcą angażować się w ściśle związane polityczne i wojskowe. Tzw. „trzeci świat” nie mieści się w tym podziale politycznym. Np. neutralne państwa europejskie nie mają z nim żadnych cech wspólnych, natomiast należy doń niemała liczba państw związanych z wielkimi mocarstwami kapitalistycznymi. Pod mianem „trzeciego świata” bowiem rozumie się kraje opóźnione w rozwoju ekonomicznym. Z tego względu publicystyka zachodnia włącza doń również socjalistyczne państwa azjatyckie oraz Kubę, czyli razem 2/3 mieszkańców ziemi. Słuszniejsza wydaje się przyjęta u nas zasada zaliczania do „trzeciego świata” tych krajów słabych ekonomicznie, które szukają dopiero drogi rozwoju. Otóż i bez Chin ów „trzeci świat” jest zjawiskiem dostatecznie ogólnym, obejmującym ponad połowę ludzkości.

Należy doń cała Ameryka Łacińska, cała Afryka, Bliski Wschód i południowo-wschodnia Azja. Obejmuje on ponad 100 krajów niezwykle zróżnicowanych pod każdym względem: rasowym, tradycyjnym kulturowym, politycznym itd. Wchodzą doń państwa luźne i rozległe, które staną się zapewne mocarstwami, jak Brazylia czy Indie, oraz państwa małe i niepełnowartościowe. Niektóre z tych krajów, np. Indie, Kamerun, Ghana, Algieria czy Brazylia prowadzą politykę neutralną i podejmują szereg reform społecznych o różnej zresztą skali, inne, np. Wietnam południowy, są rządzone w skrajnie

reakcyjny sposób, jeszcze inne, jak Arabia Saudyjska, reprezentują jakieś skamieniałe formacje feudalne.

Nad tymi ogromnymi różnicami — a do „trzeciego świata” zaliczyć wypada i te kraje afrykańskie, które dotychczas znajdują się w niewoli kolonialnej — przeważają jednak pewne cechy wspólne, które pozwalają, przy pamiętaniu o różnicach, obejmować jednym terminem położenie ponad połowy współczesnych nam ludzi. Owe cechy wspólne dotyczą i przeszłości, i dnia dzisiejszego.

Przeszłość, bo podobne procesy historyczne kształtowały los tych krajów, a mianowicie kolonialny i półkolonialny wyzysk ze strony tzw. przodujących państw europejskich, a później również — w odniesieniu do kontynentu amerykańskiego — ze strony USA. Dnia dzisiejszego, bo wszystkie te kraje odznaczają się niezwykle niskim dochodem narodowym oraz niezwykle nierównomiernym jego rozdziałem. „Trzeci świat” — to społeczeństwo chłopskie, gdzie ludność wiejska liczy na ogół powyżej 90 proc. mieszkańców, a jej nędza jest dla nas wprost niewyobraźalna. Równocześnie bogate dzielnice stołecznych metropolii, nie tylko państw Ameryki Łacińskiej, lecz również Azji, a nawet Afryki, toną w luksusie, jakiego w rozwiniętych krajach socjalistycznych niegdzie się nie spotyka. Przybył z Warszawy, oszołomiony owymi pozorami uspaniałotnienia kilku wielkomięskich ulic, sznurami samochodów-krajoznawców i elegancją willowej dzielnicy warstwy rządzącej, może odnieść wrażenie, że trafił oto do jakiegoś eldorado, gdy tymczasem znajduje się w krainie niezdrównej gospodarki i tragicznej nędzy.

Wszystkie prawie kraje „trzeciego świata” rządzone są przez burżuazję, w wielu — a staje się to regułą w krajach świeżo wyzwolonych — jedna partia sprawuje władzę i koncentruje się ona w rękach jednego przywódcy. Są pośród tych przywódców indywidualności wybitne, np. premier Nehru czy prezydenci Sukarno, Goulard, Nasser, Ben Bella, N'Krumah, Modibo Keita czy cesarz Heile Selassie, zyskali sobie autorytet daleko przekraczający granice ich własnych państw. Nikt nie może negować roli wybitnych i często postępowych przywódców, ale równocześnie widzieć trzeba, że obiektywna sytuacja społeczna znaczącej części „trzeciego świata” oraz zależność od obcego kapitału sprzyja rozwojowi swoistego typu korupcji warstwy rzą-

dzącej. Wokół gwałtownie rozrastającej się biurokracji kręcą się rzesze spekulantów, prezentując do niej, ciążą na całym życiu gospodarczym.

„Trzeci świat” stoi przed zasadniczym wspólnym zadaniem: osiągnięcia w możliwie krótkim czasie szybkiego wzrostu gospodarczego. Oznacza to konieczność podniesienia produkcji rolnej i równoczesne budowanie własnego przemysłu, konieczność oświaty powszechnej, rozwoju własnej kadry technicznej itd. Obecnie analfabetyzm obejmuje w tych krajach od 50 do 95 procent ludności. Ekonomikę ich przynajmniej do moźnych „protektorów” tzw. monokultura rolna lub opieranie gospodarki na wydobywaniu jednego lub dwóch surowców. Np. 78 proc. eksportu Pakistanu — to bawełna i juta, 82 proc. eksportu Malajów — kauczuk i cyna, 93 proc. eksportu Wenezueli — ropa naftowa, 67 proc. eksportu Brazylii — kawa, bawełna i kakao, w niektórych krajach afrykańskich ponad 90 proc. eksportu stanowi tylko jeden produkt rolny, np. orzeszki ziemne. Obniżanie cen surowców stało się podstawową metodą wyciągania gigantycznych zysków przez monopole USA z krajów Ameryki Łacińskiej.

Mocarstwem imperialistycznym w Niemalnym stopniu udało się zastąpić tradycyjny kolonializm nowego typu uzależnieniem gospodarczo-politycznym w którym czynną rolę odgrywa współdziałający części przynajmniej grup rządzących nowo wyzwolonymi krajami. Wyzwobodzenie się z pęt neokolonializmu jest procesem trudnym, często sprzecznym z interesami rodzimych, świeżo kreowanych elit. Zgoda na neokolonializm — to akceptacja za stoju gospodarczego i coraz większej korupcji. Dlatego „trzeci świat” jest i dłużej jeszcze będzie terenem, gdzie trudno jest mówić o stabilizacji, gdzie liczyć się trzeba ze wstrząsami społecznymi i politycznymi.

Już dzisiaj jednak ten ogromny „trzeci świat”, zjawisko historycznie młode, powstałe w ciągu ostatnich 20 lat, taki jakim jest obecnie odgrywa stale rosnącą rolę w życiu międzynarodowym i jest wielkim terenem współzawodnicstwa między socjalistyczną a kapitalistyczną koncepcją życia społecznego.

Szczegółowymi problemami „trzeciego świata” oraz stosunkiem jego do pozostałych części do tzw. Wschodu i Zachodu zajmujemy się bliżej w następnych felietonach.



W czerwcu br. zmarł w Moskwie w sześćdziesiątym pierwszym roku życia wielki poeta, rewolucjonista i patriota turecki, długoletni więzień reakcyjnych rządów w swej ojczyźnie.

NAZIM HIKMET

## Niezapalony papieros

On z pewnością dziś umrze.  
Olów mu duszy nie ogrzeje.  
Poszedł i cicho powiedział:  
nie stchórzę.

— Dajcie papierosa.  
— Masz...  
— A zapalki?  
— Nie ma... Papierosa ci kula zapali.

Poszedł zimny jak lód  
i twardszy od stali.  
On z pewnością już leży.  
On dokonał już swego na świecie.  
Rana w piersiach,  
Papierosa w zębach,  
Wichura kurz miecie...

1930

## Jak koń

Jak koń,  
pędzący przez kurz drogą  
Z Azji

do morza, —  
goń, wicherze, świszcz! —  
To nasza ojczyzna!

bosonoga.

Zęby ściśnięte,  
ramiona w krwi...

A ziemia — dywan wzorzysty...  
Rodzinny kraj!  
To nasze plekło,  
To nasz raj!

1930

Spolszczył K. A. Jaworski

## List

Twój syn choruje. Mąż w więzieniu.

[Twe ramiona,

Co tyle nieść musiały, są zgarbione,  
Głowa troskami skolatana  
Na umęczone ręce padła...  
Twój los jest losem Turcji całej.  
Ale wiem dobrze; od dni ciężkich  
Kraj nasz do dni szczęśliwych

[przejdzie

I syn twój wyzdrowieje. Mąż

[z więzienia wróci.

I w oczach twoich się zapali  
Światło uśmiechu, co nie zgaśnie.  
Los twój jest losem Turcji całej.

1948

Spolszczył K. A. Jaworski

\* \* \*

Nad morzem oblok  
[purpurowy,  
na morzu okręt srebrny,  
w morzu ryba złocista,  
na dnie wodorost

[błękitny.  
Na brzegu nagł człowiek  
stoi, myśli:

„Kim być —  
czy rybą,  
czy oblokiem,  
okrętem,  
czy wodorostem?”

Ani tym, ani tamtym,  
[ani owym.  
Trzeba być morzem,  
[mój bracie,  
wraz z rybą i wodorostem,  
okrętem i oblokiem.

1959 r.



Nazim Hikmet

## Dzieciom

Dajmy kulę ziemską dzieciom, dajmy choć na jeden dzień,  
dajmy — jak barwny balonik, niech się nim bawia,  
niech bawia się i piosenki śpiewają wśród gwiazd.  
Dajmy kulę ziemską dzieciom,  
dajmy — jak jabłko olbrzymie, jak ciepły chleba bochen,  
niech się najedzą do syta, choć przez jeden dzień.  
Dajmy kulę ziemską dzieciom,  
niech przez dzień kula ziemską rozumie,  
jaka może być ufnosć.  
Z rąk naszych wezmą dzieci kulę ziemską,  
zasadzą drzewa nieśmiertelne.

Przełożył Jerzy Pleśniarowicz

Jeszcze chwila i trofeum leży na środku małego placu, a obok niego oparci na karabinach stoją wyborowi strzelcy, odbierając z godnością podziękowania współplemieńców.

— Simba kufa.

Można spokojnie iść po wodę, można paść krowy bez obawy postradania życia i dobytku. Zwycięstwo wielkie i oczywiste, zwycięscy myśliwi tańczą dokoła drapieżnika w takt rytmicznych uderzeń bębna.

— O-ee... Simba kufa... Simba caputi...

**P**O KILKU dniach Njuma rąbiąc drzewo uciął sobie kawałek palca u prawej nogi. Zobaczywszy stojącego zabrał go do domu, by opatrzyć okaleczoną nogę. Obserwował moje zabiegi uśmiechając się trochę przekornie, choć był widocznie wzruszony. Kiedy opatrzenie było skończony, zwróciłam mu uwagę, że wszystkie palce naszpikowane ma ziemnymi pchłami. Njuma skinął głową i wysupławszy z koszułki długi jak igła kolec akacji wydlubował nim otorbione już pod skórą pchełki.

Lowieckie instynkty ludzi miały seryjny przypływ coraz to nowych podmiotów wynikających zresztą z potrzeb samoobrony. Tym razem nieprzyjacieli kopie pod nami przysłowiowe dołki. Sąsiadka zajrzawszy do walizki znajduje w niej strzępki bielizny przemielone na grys razem z dnem. Podobny los spotkał półbuciki babci. Zostały tylko wierzechy przylepione do dwóch małych kopczyków, tkwiących mocno w ceglanej podłodze. W nocy budzi mnie coś jakby szelest przesypanych ziaren grochu. Myszy? Nie. Biała ściana pokryta jest wypukłymi węzłowiskami gliny wydrążonej przez termity. To niebezpieczny, zorganizowany przeciwnik. Kierownictwo osiedla zarządza tym razem polowanie na matkę termitów. Ten, kto ją wykopie, dostanie pięć szylingów nagrody.

Jest. Na dłoni Murzyna leży piętnastocentymetrowej długości samica, przypominająca grube, białawe jeliło nadziane ruszającymi się termicami „niemowlętami”. Jest ona przysmakiem, toteż szczęśliwy zdobywca nagrody zjada ją ku przerażeniu patrzących.

Zbliża się pora deszczowa. Jest pełnia księżyca. Na wygwieżdżonym niebie świeci Krzyż Południa. Za oknami zawodzi hiena szukająca odpadków. Za rzeką płoną ognie, a wśród drzew na małej, zalanej światłem księżycy polanie śpiewają i tańczą tubylcy. Bęben wybija takt w coraz szybszym tempie i rozpala w żyłach krew pożądaniem silnym, jak instynkt życia.

Nareszcie czyste przez pół roku niebo pociemniało, słońce pokryły chmury i rozpętała się burza. Na twardą jak skała i nagrzaną jak piec ziemię wylewają się strumienie wody, tworząc nad nią biały, gęsty opar odpryskującego dżdżu i pary wodnej. Błyskawice można policzyć, ale pojedynczych wyładowań nie odróżnia żadne ucho, bo zgrzmot zwiokrotniony echem gra jeszcze, gdy bije drugi i trzeci. Po godzinnej ulewie chmury znikają. Zalana wodą ziemia paruje tęczowymi smugami. Po południu druga porcja deszczu, ale już bez przedpołudniowej kanonady. Zieleni wywołana ciepłem i wilgocią pokrywa ziemię i drzewa

całą gamą odcieni. Kwitną pachnące datury, płot otaczający ogródek babci ginie pod caprifolium i żółtymi kwiatami nasturcji, na polach zawiązują się pierwsze ziarna i owoce.

Krowy jak wielbłądy mają garby, które w okresie suszy wiotczeją. Nie ma paszy, krowy chudną, a Murzyniata z palcem w buzi marzą o ciepłym i słodkim mleku. Teraz już, gdy świeżej trawy jest wszędzie pod dostatkiem, troska o mleko odpada. Dookoła jest tak pięknie, że troski biedną. Przynajmniej niektóre.

Czekając któregoś dnia na auto, które by mnie zabrało z Njombe do Kidugagai, wstąpiłam do sklepu, którego właścicielem był Hindus. Obowiązuje tu niepisane prawo gościnności. Każdego, choćby przypad-

## WSPOMNIENIA Z TANGANIKI (2)

WANDA DRYŁOWA

kowego klienta gospodarz częstuje filiżanką czarnej kawy, lub zaleźnie od chęci herbatą z mlekiem. Tym razem piję wino, które nie smakuje mi wcale: jest zbyt gorące. Na szczęście przyjeżdża ciężarowe auto po pocztę, dziękuję za wino i żegnam gościnnego Hindusa. Ten zatrzymuje mnie jeszcze i wskazując na wysokiego, po europejsku ubranego kierowcę wtajemnicza mnie w jego sprawy sercowe.

Jego ojciec ma cztery żony, a Kazi kocha najmłodszą i chce ją odkupić. Ale stary każe sobie dać czterysta szylingów — you see — to całe dwadzieścia funtów. Kazi nie ma tyle pieniędzy, musi pracować cztery miesiące, żeby tyle zarobić.

To przykre, żeł mi go bardzo. Śladam obok czarnego kierowcy i przyglądam mu się dyskretnie.

— Co złego, Kazi — pytam. — Jesteś chory?  
— Kiwa głową. — Tak, serce jest chore i boli.

Wybranka Kaziego jest bardzo piękna. Gdy idzie niosąc na głowie koszyk bananów, lub naczynie z wodą, jej sylwetkę widzianą z profilu można narysować stylizowanym, wydłużonym „S”. Mąż kupuje jej kolorowe kangil, które nosi z wdziękiem. Nie chodzi, jak wiele innych kobiet, z ogoloną głową. Widziałam ją nieraz siedzącą przed domem, poddającą się żmudnemu zabiegowi specjalistki od naprawę ładnego uczesania. Dzielać krótkie, welniste włosy na pasma, spleta z nich warkoczyki przylegające ciasno do głowy od czoła ku tyłowi czaszki. Jest to praca na całe przedpołudnie. W takim uczesaniu występowała kiedyś słynna Józefina Baker, oczarowując tysiące widzów. Cóż więc dziwnego, że Kazi jest smutny... U schyłku podróży powiedziałam do niego śmiejąc się:

— Kazi, w Babati, wiesz, między Dodomą i Tengeru, jest król. Ma piękny, duży dom i siedemdziesiąt żon. Zabierz mu jedną.

— Apana — potrząsa głową. — Zabiorę ojcu jedną czwartą żonę. Innej nie chcę.

W domu zastaje osiemnastoletnią Alinę. Ojciec jest na froncie, matka pracuje w pralni. Dziewczyna jest świeża, ma niebieskie oczy i jasne włosy. Przyszła prosić mnie na wesele. Zdziwiłam się, bo na miejscu nie było kandydata na męża dla Alinki.

— Wychodzę za mąż za Mulata z wyspy Mauritius — wyjaśnia. — Mieszka i pracuje w Dar-es-salam.

— Brawo, Alinko. Gdzie będziecie mieszkać?  
— W Dar-es-salam — i ciszej — w dzielnicy dla czarnych.

Wiedziałam, że czeka ją ciężka próba. Wielka miłość i cześć męża i sąsiadów nie zrównoważy poczucia krzywdy wyłączenia poza mur, na którym widnieją słowa: „for European”.

Mąż Aliny jest synem Francuzki. Mówi swobodnie po francusku i angielsku. Jest wykształcony, zna literaturę, historię, a swoją młodą żonę nazywa konwalia z polskich łąk.

Śpiewamy młodej parze „sto lat”. Pleśń potężnie i nagle podchwyciona przez zebranych przed domem Murzynów. Śpiewają ją zawsze, ilekroć pracują zbiorowo. Podobna im się bardzo. Nauczyl się jej i powtarzają z równie pogodnym uśmiechem, jak słowa „cholerera” i „psiakrew”.

„Sto lat” śpiewają nam również, gdy o świecie żegnamy się z nimi na zawsze.

Jak Zakopane bez Kasprowego, tak obraz Tanganiki bez Kilimandżaro byłby błąd i niekompletny. W ciągu ubiegłego dwudziestolecia kilka polskich wycieczek zdobywało wieńce Kibo u wite z nieśmiertelników rosnących poniżej krateru tego szczytu. Długie słońce łączy wyższy szczyt Kibo z niższym Mawenzi.

Dziadek Kibo wciąż jeszcze pali fajkę, a dziadkowi Mawenzi gasła ona tyle razy, że się na niego dziadek Kibo pogniwał, porwał za bary i tak mocno potrząsnął, aż niefortunny palacz rozsypał się tworząc wielkie usypisko kamieni.

Codziennie zaraz po wschodzie słońca i przed jego zachodem stają na progu domu w Tengeru i patrzą na Kilimandżaro. Niższy szczyt Mawenzi nie zawsze jest widoczny. Nad linią horyzontu widnieje ciemna smuga lasów, wyżej faliste, sinawe sylwetki gór, nad nimi szerokie, ciemne plachty chmur, a w górze, jak zawieszony na niewidzialnych wiązaniach lampion, opalizujący szczyt Kibo.

Góra Meru to rezerwat słońi i Massajów. Nie tolerują oni białych na przyległych do Meru terenach. Anglicy unikają wycieczek, mając na uwadze przykre doświadczenia niefortunnych amatorów przygód.

Nasze harcerki, pozeraczki wszelkich możliwych dróg świata, spotkały się w czasie wycieczki z Massajami. Nomadowie stepów wschodniej Afryki otoczyli je kołem i odtańczyli taniec wojenny potrząsając dzi-

(Dokończenie na str. 9)



Warszawie, przesyłałem mu takie wydawnictwa regularnie. Na podstawie tych materiałów chciałem napisać powieść o oryginalnym maniakaku, a ponadto "Studium psychologiczne. Wiem, że na te tematy miał sporo przygotowanych szkiców.

Osobnym rozdziałem były wierze i opowiadania dla dzieci.

Myślałem, że to archiwum osobiste było obfite, a może nawet nader obfite.

Co się z tą całą spuścizną stało?

Zaznaczyłem na wstępie, że z chwilą ukazania się "Cyganerii" Mrozowski sprawa nabiera aktualności i dojrzała do publicznej dyskusji. Ma ona na celu wyjaśnienie gruntowne zagadnienia, oczywiście o ile to będzie możliwe.

Na str. 238 "Cyganerii" czytamy: „Doradziłem zniesienie mebli do piwnicy, papiery i książki zgodziłem się, po znalezieniu odpowiedniego pomieszczenia u znajomych, przewieźć i przechować. Zawiadomiłem natychmiast siostrę poetę w Brodach koło Lwowa. Za parę dni, uzyskawszy zgodę od znajomych z Czerwonego Krzyża na złożenie materiałów w depozycie, zgłosiłem się na Narbutta i wózkiem przewiozłem część książek oraz parę teczek papierów i maszynopisów. Pewnego dnia zjawił się w mieszkaniu Stefan i zażądał zwrotu maszynopisów. Odmówiłem wydania, mówiąc, że napisałem do siostry Józefa Henryka i czekam na jej dyspozycje. Odpowiedzi żadnej nie miałem.

Tymczasem rozejrzałem się w papierach pośmiertnych poetę. Dwa bruliony w żółtej oprawie z różnego rodzaju notatkami, szkicami wierszy (korzystał już z nich Pollak i Spiewak robiąc wybór Czechowicza), sporo przekładów w maszynopisach, przeważnie z rosyjskiego i ukraińskiego, (posłałem je wszystkie na ręce przyjaciela poetę, tłumacza K. A. Jaworskiego) teczka „osobista” z zapiskami, prócz tego mnóstwo wycinków z prasy literackiej, negatywy zrobionych na taśmie filmowej zdjęć, kilka teczek listów od przyjaciół i poetów całej Polski oraz 2 portrety poetę: Kramsztyka i Wydry. Książki złożone w depozycie, portrety i listy spłonęły w Powstaniu Warszawskim. W gruzach leży dom na Narbutta z resztą złożonych w piwnicy rzeczy”.

W relacji powyższej są pewne wyraźne niejasności. Z analizy tekstu wynika, że z mieszkania na Narbutta Mrozowski do znajomych z Czerwonego Krzyża przewiózł tylko część spuścizny. A co się stało z pozostałą? O tym Mrozowski wyraźnie nie pisze, ale zaznacza, jak powyżej, że z dwóch brulionów w żółtej oprawie korzystali Pollak i Spiewak, a przekłady przesłał Jaworskiemu. Ale Pollak i Spiewak korzystali z tych materiałów już po wojnie, również Jaworski po wojnie otrzymał wymienione przekłady. A zatem ta część spuścizny po Czechowiczu ocalała i po wojnie była w rękach Mrozowskiego.

Również ostatnio z okazji wydania „Cyganerii” Mrozowski udostępnił Wydawnictwu Lubelskiemu część materiałów. Czy wszystko?

Gdy zdecydowałem się tę sprawę omówić na łamach „Kamenu”, zwróciłem się o wyjaśnienia do kilku osób związanych z Czechowiczem, które sprawę spuścizny po nim znały i odpowiednio naświetlały.

Do rzędu koronnych, że się tak wyrażę, świadków, należy p. Michalina Sliwicka, mieszkająca dziś w Naleczowie. Łączyła ją z Czechowiczem przyjaźń. Często, jeszcze za czasów lubelskich, przepisywała mu na maszynie utwory literackie. W Warszawie Czechowicz bywał stałym gościem w domu jej rodziców. Prowadzili oboje ożywioną korespondencję.

P. Michalina Sliwicka wzięła czynny udział w powstaniu warszawskim. Po powrocie z obozu już po zakończeniu wojny napisała relację dotyczącą spuścizny po Czechowiczu. Jestem w posiadaniu odpisu tej relacji, udostępnionej mi przez p. Sliwicką. Oto istotne wyjątki z tej relacji.

„Józefa Czechowicza znalazłem bardzo dawno, jeszcze z moich szkolnych czasów. Toteż nie zdziwiłem się wcale, kiedy w przeddzień wybuchu wojny, dokładnie 31.VIII.39 r. wieczorem, zatelefonował do mnie i w rozmowie wspominał, że gdyby miał wyjechać z Warszawy, przenieść pod moją opiekę rękopisy i maszynę do pisania. To była nasza ostatnia rozmowa, obiecywanych rękopisów ani maszynę nie

przysłał, nie wiedziałam, czy jest w Warszawie. Dopiero w październiku tegoż roku nadeszła z Lublina wiadomość o jego tragicznej śmierci.

Udałem się na ul. Narbutta, gdzie Czechowicz mieszkał, ale właścicielka mieszkania czy też sąsiadka poinformowała mnie, że całą spuścizną zarówno literacką, jak i materialną, zaopiekowali się już przyjaciele.

W krótkim czasie potem, o ile mnie pamięć nie myli, jeszcze w końcu 39 r. lub na początku 40 — za pośrednictwem dr-owej Stankiewiczowej dowiedziałam się, że po śmierci Czechowicza rękopisy jego zabrał jeden z jego znajomych, poeta W. M. Postarałam się zobaczyć z p. W. M. i wspólnie z dr-ową St. usiłowałyśmy mu wytłumaczyć, że tego rodzaju samowolne rozłożenie opieki nad rękopisami Czechowicza spotkać się może jedynie z ogólną dezaprobatą i narazić go na nieprzyjemności, że zanim sąd przyzna prawa spadkowe do spuścizny po zmarłym, spuścizna literacka winna

być oddana pod opiekę jakiegoś komitetu, w skład którego weszłoby przedstawiciele literatury i przyjaciele Czechowicza. Przede wszystkim zaś rękopisy winny być czym prędzej przepisane w kilku egzemplarzach z tym, że egzemplarze te byłyby rozdane w różne miejsca, co stworzyłoby najlepsze warunki dla uchronienia ich od zniszczeń wojennych. M. acz nie od razu, zgodził się z naszym stanowiskiem i rękopisy zostawił pod opieką dr-owej St. w jej mieszkaniu, również władze sądowe wyraziły na to swoją zgodę z tym jednym zastrzeżeniem, że rękopisy nie mogą znaleźć się poza obrębem jej mieszkania i że p. St. jest za nie odpowiedzialna. Depozyt „pozostawiony” u p. St. było to kilka grubych teczek, o ile pamiętam, 4, jedna zawierająca zbiór rysunków, grafik i reprodukcji, reszta rękopisy. Przypominam sobie m. in. przygotowany do druku tom poezji dla dzieci, kilka rozdziałów powieści pt. „Berło” oraz dużą ilość przekładów, które mogłyby stanowić osobny tom. Zaczęłam przepisywać te rękopisy, ale praca szła dość wolno, gdyż wobec bardzo zajętego czasu i wczesnej godziny policyjnej mogłam poświęcić na to najwyżej godzinę lub dwie wieczorem. Tymczasem nie wiem dlaczego, przypuszczam, że wskutek nacisków strony zainteresowanej, któregoś dnia w mieszkaniu p. St. zjawiła się policja z nakazem od prokuratury zabezpieczenia tych rękopisów do czasu przeprowadzenia postępowania spadkowego. P. St. zaskoczona nieoczekiwanym obrotem sprawy, straciła głowę i oprócz teczek z rękopisami należącymi do depozytu wydała również moją teczkę zawierającą już przepisane utwory. Ponieważ nie wypytała się z miejsca dokładnie, gdzie i przez kogo rękopisy te miały być zabezpieczone, nasze usiłowania dowiedzenia się czegoś wobec panującego wtedy zamętu i braku znajomości w sferach sądowych — spełzły na niczym. W tym punkcie urwała się wedle moich wiadomości wszelki ślad dotychczas spuścizny literackiej Józefa Czechowicza”.

## Co się stało ze spuścizną literacką Józefa Czechowicza?

Ponieważ relacja p. Michaliny Sliwickiej rozszerza znacznie zagadnienie spuścizny i kontrastuje z oszczędnym opisem tej sprawy w „Cyganerii”, przeto zwróciłem się do Wacława Mrozowskiego, poinformowałem go o istnieniu relacji p. Sliwickiej i poprosiłem o szczegółowe wyjaśnienie tego zagadnienia. Zwróciłem również tego samego dnia na wielką skrótność w „Cyganerii” — skrótność ta rodzi niejasności, a nawet dwuznaczności.

Odpowiedź otrzymałem w postaci listu z dnia 11 maja 1963 r. zawierającego dość szczegółowe wyjaśnienie. A oto najważniejsze fragmenty tego wyjaśnienia:

„Przez parę dni przemyślałem i przypomniałem sobie kolejność wydarzeń. Pewne rzeczy odżyły na nowo. Być może że są jakieś drobne niejasności w relacji książkowej. Nie zapominaj, że minęło już 24 lata. A więc: część książek złożyłem nie w Czerwonym Krzyżu, lecz u znajomych na ul. Czerwonego Krzyża (zdaje się nr 5 tuż przy wladudkie Poniatow-

przepadną u jednego, były u innych. Z tym wyjechałem i wiadomo mi, że p. Sliwicka zaczęła już przepisywać. Jaka była zawartość tych teczek z papierami, trudno mi dziś powiedzieć, mimo że z grubsza je przerzuciłem. Czy były fragmenty „Berła” — i to mi dla dzieci — nie przypominam sobie. Nagle zostałem zaalarmowany w Radomiu przez panią St., że z nakazu prokuratora policja zabrała wszystko, co znajdowało się u niej, łącznie z tym, co już p. Sliwicka przepisała. Znowu przyjechałem do W-wy i poszedłem na policję (gdzieś na Mokotowie), gdzie pokazano mi zabrane materiały i zapytano o książki. Powiedzialem, że są na Czerw. Krzyża u znajomych. Natychmiast je zabezpieczono i gdy wpadłem tam później, p. Emich oświadczył mi, że zabroniono cokolwiek ruszać. Wyjechałem. Później dowiedziałem się, że Sąd wyznaczył kuratora do masy spadkowej, którym został jakiś mecenas, którego nazwiska nie pamiętam, i wszystko zabezpieczył. I tak ciągnęło się to do wybuchu powstania. Dom na Czerwonego Krzyża spłonął, sądzi, że Komisarjat Policji też. Żałuję, że nie zabrałem części chociaż od p. Stankiewiczowej do Radomia — choć raczej ona powinna mi to, co było przepisane, przesłać. Z. p. Stankiewiczową (mał jej, lekarz, zginął w Katyniu) spotkałem się po wojnie w Łodzi w 1945 r. i do roku 1960 byliśmy w serdecznych stosunkach. Bywała u nas prawie codziennie gościem. Zmarła w Łodzi we wrześniu 1960 r. Organizowałem Jej pogrzeb. Zastanawiałem się, jak doszło do tego prokuratora. Wydaje mi się, że Stefcio Górski po powrocie do Warszawy zgłosił się na Narbutta, aby zabrać rzeczy i właścicielka domu nie chciała mu niczego wydać i podała adres na Zimorowicza do p. St., który jej zostawiłem. Powiedziała pewnie, że część książek zabrałem. I Stefcio prawdopodobnie zameldował w Policji. Dalej sprawa potoczyła się jak wiadomo. Oczywiście gdybym mieszkał w Warszawie i bez przerwy trzymał rękę na pulsie, może byłoby inaczej. Tak wygląda smutna, naga prawda. I dlatego w swoim sumieniu jestem spokojny. Chciałem jak najlepiej — szkoda, że jedynym świadkiem jest p. Sliwicka. A swoją drogą p. St. (świetny prawnik, sędzia Sądu Najwyższego, a po emeryturze — adwokat) chciała cały przebieg tej sprawy opisać i złożyć u mnie jako dokument dla siostry, którą mieliśmy nadzieję, zgłosi się po wojnie. Nie zrobiła tego, była już zbyt stara i wykończona okupacją. Sama siedziała na Pawiaku. A więc, kochany Wacławie, jeśli Ci to coś nasświetli, wyjaśni wątpliwości, które może gdzieś głęboko jeszcze tkwią, wyprowadź z błędu podejrzliwych i wąpiących. Ja tego przed nikim nie miałem zamiaru robić — choćby dlatego, że nikt mnie o to uczucie nie pytał. Tobie piszę to, bo byłeś wypróbowanym przyjacielem Józefa i te wyjaśnienia Ci się należą”.

Te trzy powyższe relacje (książkowa, p. Michaliny Sliwickiej i list Wacława Mrozowskiego) stanowią jak dotąd jedyne dokumenty w tej sprawie. Zanim te relacje zestawię i częściowo

przeanalizuję stwierdzam, że nie klaruje mną chęć oskarżenia kogokolwiek, ale potrzeba wyjaśnienia prawdy. Chodzi bowiem bądź co bądź o spuściznę wybitnego poetę, którego wpływ, szczególnie na młode pokolenie, wzrasta niemal z dnia na dzień. A więc sprawa jego spuścizny jest poważna.

Z zestawienia relacji da się wyodrębnić następujące niejasności. Poeta Wacław Mrozowski popełnił dość duży błąd, że pisząc w „Cyganerii” o zabraniu teczek i książek z mieszkania Czechowicza nadał temu fragmentowi tak powierzchowny i skrótno-ogólnikowy charakter. Powinien był przewidzieć, że wywoła on duży rezonans. Gdyby przynajmniej napisał tak, jak do mnie w liście, zagadnienie stałoby się bardziej przejrzyste.

Z zestawienia relacji p. Sliwickiej i Mrozowskiego wynika jedna wątpliwość — p. Sliwicka twierdzi, że wraz z p. Stankiewiczową wywarła nacisk i dopiero po tym teczki zostały złożone u p. Stankiewiczowej, a Mrozowski odwrotnie — sam złożył teczkę u p. Stankiewiczowej, a potem dopiero konferował z Paniami, jak je zabezpieczyć. Ale ostatecznie któraś ze stron mogła się pomylić. Zbyt wielki był wtedy napór zdarzeń i nie każda pamięć wyszła z tych czasów obronną ręką.

Najbardziej według mnie niepokojąca jest sprawa wkroczenia policji do mieszkania pp. Stankiewiczów z nakazu prokuratora.

Z relacji p. Sliwickiej: „również władze sądowe wyraziły na to swoją zgodę, z tym jednym zastrzeżeniem, że rękopisy nie mogą znaleźć się poza obrębem jej mieszkania i że p. St. jest za nie odpowiedzialna”, wynika, że sprawa złożonych u p. Stankiewiczowej materiałów stała się wiadoma Sądowi i ten w ustalonym trybie wydał decyzję. A skoro Sąd wydał decyzję, jak mógł prokurator ją podważać i wydać nakaz policji, aby spuściznę po Czechowiczu z mieszkania p. Stankiewiczowej zabrała?

Ale założmy, że w tych dziwnych i strasznych czasach różne dziwolagi mogły się zdarzać.

Niezwykłą okolicznością w tej sprawie jest fakt, że p. Stankiewiczowa, według relacji Mrozowskiego, „świetny prawnik, sędzia Sądu Najwyższego i następnie adwokat”, jak wynika ze stwierdzenia p. Sliwickiej, na widok policji straciła głowę, wydała nie tylko depozyt, ale i nie należącą do niego teczkę z przepisanyimi materiałami i tak ją zatkała, że nie sprawdziła legalności nakazu prokuratora i kto spowodował ten nakaz i nie zapytała, z którego komisarjatu są przybyli policjanci i gdzie zamierzają ulokować zabierane materiały.

Czego nie zrobił „prawnik i sędzia”, p. Stankiewiczowa, tego dość łatwo dokonał Mrozowski. Odnalazł komisarjat na Mokotowie, i nawet dodatkowo poinformował policję o depozycie u pp. Emichów. A skoro to ustalił Mrozowski, to na pewno wiedziała o tym i zaprzyjaźniona z nim p. Stankiewiczowa. Dlaczego jednak nie poinformowała o tym p. Sliwickiej, z którą wspólnie prowadziły akcję zabezpieczenia spuścizny po Czechowiczu?

Czy rzeczywiście Stefcio Górski, wychowanek Czechowicza (prywatnie nazywany Stefcio — lotnik w przeciwieństwie do Stefcia — zbrojka, drugiego podopiecznego autora poematu „hildur baldur i czas”) złożył skargę w policji i spowodował wydanie nakazu przez prokuratora, jak to sugeruje Mrozowski? A może jednak spuścizna nie spłonęła całkowicie i oczekuje chwili odkrycia?

Gdy pisałem powyższe, przyświecała mi jedna zasadnicza myśl. Może te słowa wywołały silne echo. Może znajdzie się ktoś, kto wie coś o losach tej sprawy. Może żyje prokurator, który wydał nakaz, może odezwie się któryś z żyjących policjantów z komisarjatu mokotowskiego, a może ktoś zgola inny, kto w taki czy inny sposób poznał sprawę spuścizny literackiej Józefa Czechowicza.

Dobrze by było, gdyby pisma literackie, a nawet periodyki i pisma codzienne, zechciały w krótkiej formie zamieścić apel do tych wszystkich osób, które mogłyby pomóc w wyświehleniu sprawy.



„Tak brat, jak i ja, nie posiadamy gospodarstwa rolnego, tylko działki po 0,34 ha, gdyż gospodarstwo podzieliło się w postaci spadku między sześćoro dzieci i tyle na każdego z nas wypadło. Więc pytamy, czy w Bieszczadach można kupić ziemię, po ile i której klasy?”

„Jestem pracownikiem fizycznym, chcę 1 hektar ziemi, pobrać się i na stare lata mieć dach nad głową”.

„Nadmieniam, że kilka rodzin w naszych przeludnionych stronach czeka na odpowiedź co do mego listu”.

„Szanowny Panie Prezesie!”

„...bo my jesteśmy z powiatu ostrołęckiego i nas dwóch reflektuje na kupno ziemi na Bieszczadach, a jak my tam już pojedziemy i kupimy, to będzie takich więcej”.

„Piszę list w liczbie mnogiej — ponieważ takich jak ja chętnych nabywców byłoby w mojej wsi więcej”.

Treść listów przychodzących do oddziałów Banku Rolnego w Ustrzykach Dolnych, Lesku, Sanoku jest na ogół podobna.

Przeczytaliśmy w gazecie, słyszeliśmy przez radio, pokazywali w kinie. Jak to z tą ziemią jest? Czy każdy może ją kupić, czy są na miejscu jakieś domy, szkoła, sklep? Jakie jest połączenie komunikacyjne z miastem? Jak daleko do lekarza? Czy można dostać jakieś kredyty i w jakiej wysokości?

Uzbierało się tych listów w każdym z powiatów po kilkadziesiąt w ciągu tych pierwszych czterech miesięcy bieżącego roku.

Piszą chłopcy z Kielecczyny, z Lubelskiego, górale z Nowotarskiego i Limanowskiego. Przychodzą listy z Nowego Dworu i Żyrardowa, Warszawy i Łodzi.

Piszą ludzie różnych zawodów. Rolnik z Rokietnej, któremu ciasno na dwóch morgach z dziesięcioosobową rodziną, kelner z Krakowa, który po trzydziestu latach pracy nagle odkrył w sobie nowe powołanie. Spórą tezką zajmuje korespondencja z panem magistrem T. z Warszawy, który zgłasza gotowość zakupu 15 hektarów ziemi dla rozwinięcia hodowli czarnej porzeczki. Ten ostatni ma nawet pisemne zapewnienie żony, geodety z zawodu, której „znane są projekty męża”; ona w pełni je popiera i przyjedzie wraz z nim w Bieszczady, jeśli tylko sprawa zostanie pomyślnie załatwiona. Nie jest to oświadczenie bez znaczenia...

Zdarza się często, że władze powiatu przed podpisaniem kontraktu kupna ziemi piszą do żony lub męża pisemko o mniej więcej takiej treści:

„Informujemy, że Mąż (Zona) Pani(u) zamierza zakupić u nas gospodarstwo rolne i osiedlić się na stałe w miejscowości X. Interesuje nas, co Pan(i) sądzi o tym zamiarze”.

Nie jest to bynajmniej brak wiary w pionierskie możliwości współmałżonka, ale... Odpowiedzi są czasami niezmiernie pouczające, podobnie jak i konsekwencje nieuzgodnionych decyzji...

Uważna lektura tegorocznych listów napływających niemal z całej Polski do Banku Rolnego i powiatowych rad narodowych bieszczadzskich powiatów wykazuje, że zachodzi, wprawdzie jeszcze powolny, ale chyba trwały proces. Osadnictwem zaczynają interesować się w coraz szerszym stopniu rolnicy.

siadami za zoranie skiby tego zainstabulowanego ugoru. Ich spotkanie, jak łażą po polach z łopatką, rozkopują glebę i grudki jej długo rozciągają w palcach.

Jaka też ta ziemia jest?...

Znam ich od lat — z Dźwiniacza, Jureczkowej, Seredniego, Wetliny, Pamiętam ich okres „bohaterski”. W Ju-

# W Bieszczadach

(2)

Nie tylko ci, którzy jako jedyny argument uprawniający do zakupu ziemi podają chłopskie pochodzenie... ojca lub dziadka, ale rolnicy z krwi i kości, jak brzmi urzędowa formuła — ludzie „zawodowo czynni w rolnictwie”.

Spotykam ich przy załatwianiu formalności bankowych i hipotecznych. Nie trudno odróżnić ich od pionierów z Warszawy, Katowic i Łodzi nie tylko dlatego, że nie noszą kapeluszy z szerokim rondem. Te akcesoria przewyżają się już zwłaszcza u tych, którzy rzeczywiście mają najlepsze chęci zamieszkania w Bieszczadach na stałe. Tylko bardzo młodzi ludzie, ciągnący w stronę Caryńskiej — opieci w dżinsy i kolorowe koszule taszcą na plecach kowbojskie siodła wzbudzające postrach wśród pegeerowskich chabot. W Bieszczadach czeka tysiące hektarów wolnej ziemi, czekają państwowe kredyty na budowę i zagospodarowanie się, ale tej wolnej ziemi nikt nie ma tutaj zamiaru sprzedawać za wszelką cenę... Nim zawarta zostanie umowa kupna-sprzedaży, władze tutejsze lubią się dobrze przypatrzeć temu, z kim czeka je w późniejszych latach współpraca. A że pierwsze wrażenie może okazać się istotne przy załatwianiu dalszych trudniejszych już spraw, warto na tę inauguracyjną rozmowę ubrać się w sposób wzbudzający zaufanie, bez ekstrawagancji, których podobno tutaj nie lubią...

W ustrzyckim banku zawarto w ciągu bieżącego roku 20 kontraktów sprzedaży ziemi. Dwadzieścia gospodarstw zakupili chłopcy z Lubelskiego, Krakowskiego, Rzeszowskiego. To jest ta grupa ludzi, która nie oglądając się na trudności wstępnego zagospodarowania, będzie się wykłócać o każdą najdrobniejszą kreskę w mapie katastralnej i dążyć do załatwienia wszystkiego formalnie, prawnie, urzędowo.

To oni będą przyjeżdżać wielokrotnie po kilkadziesiąt kilometrów, żeby załatwić intabulację, drzeć koty z są-

reczkowej, gdzie jest dziś ponad czterdzieści budynków mieszkalnych i ani jednego wolnego gospodarstwa, stały wtedy baraki i szałas. Mieszkali ci ludzie biblijnie, wspólnie ze zwierzętami.

## ADOLF JAKUBOWICZ

Pierwsza zima. Spadły wtedy duże śniegi. Przyszli mróz. Spało się wtedy w czapkach, w ubraniu, w pomieszczeniach, gdzie słońce przelało na ściany centymetrową grubością, a czupryna przymarzała do poduszki.

Młode małżeństwo. Ona lat może dziewiętnaście, dwadzieścia, on nie wiele więcej. Wyglądali na dwoje dzieci, które znalazły się na tym pustkowi jakimś niepojętym zbiegiem okoliczności.

W sylwestrowy wieczór mówili reporterowi o swoich projektach, o tym co chcieliby osiągnąć w tym nowym roku. Od trzech lat przy końcu starożytnego roku robimy wspólny bilans sukcesów i porażek, konfrontację archiwalnej taśmy magnetofonowej z dniem dzisiejszym. Przy wielu nowych niespodziewanych komplikacjach i kłopotach jest to jednak bilans dodatni. Kilkadziesiąt nowych domów wzniesionych w okresie trzech lat w wiosce, której jedyny ślad znaczyły jeszcze nie tak dawno bujnie krzewiące się pokrzywy i zdziczałe sady, to dużo. Na warunki bieszczadzkie bardzo dużo.

Czarna Góra. Nietypowy osadnik z cenzusem. Przed zimą zdążył jeszcze nakryć dom. W kuchence z nieotynkowanymi pustaków łóżeczko dziecięce, i tapczan stojący na kilku ceglach. Tegoroczna zima, która blokowała setki kilometrów dróg w centralnej Polsce, dla Bieszczadów okazała się bardzo łaskawa. Mimo przewietności pomieszczenia nikt z domowników nie chorował.

Ale na zimę i gospodarz i jego żona musieli szukać pracy poza własnym gospodarstwem. Sprawa niestety dość

charakterystyczna. Kredyt bankowy poszedł na budowę domu, kupno, a przede wszystkim na zakup sprzętu, a nie na zakup ziemi, jeśli nie przywiozło się z gotówką, nie zebrało pługów, nie chowało kilku sztuk bydła, nie ma się jeszcze własnego mleka, nie śla, jaj, a każda marchew i ziemniak zakupuje w powiatowym mieście.

Przed tym dylematem staje się siatki podobnych, młodych i młodszych ludzi, którzy przyjeżdżają do Bieszczad. Władze bankowe wyraźnie, że kredyt na budowę i zagospodarowanie się są uzupełnieniem środków własnych osadnika, jako że za 150.000 złotych trudno jest zbudować dom i zagospodarować się.

Co robić, jeśli się tych własnych środków nie ma?

W ciągu ostatnich trzech lat, mimo zwiększonego zainteresowania Bieszczadami, plany osadnictwa nie są wykonywane. Zamiast spodziewanych kilku tysięcy rodzin osiedliło się ich około 700. Masowy przyjazd górali z Nowotarskiego i Nowosądeckiego, o którym mówiło się jeszcze kilka lat temu, nie nastąpił, znacznie poniżej ekonomicznie uzasadnionych potrzeb jest przyjazd rolników z przeludnionych rejonów województwa rzeszowskiego.

19 lutego, z inicjatywy Wydziału Rolnego Komitetu Wojewódzkiego PZPR i Wydziału Rolnictwa Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Rzeszowie, odbyła się w Lesku specjalna narada, podczas której omawiano przyszłość opóźnień w akcji osadniczej. Nie zamierzam streszczać przebiegu obrad. Zetknęły się tam stanowiska gospodarzy powiatów bieszczadzskich i powiatów, które tradycyjnie ciągnęły tym terenem, skąd przyjeżdżała najwięcej osadników, ze strzyżowskiego i brzozowskiego.

Postanowiono w tych właśnie „ekspozytywnych” powiatach nasilić w większym niż dotychczas stopniu informację o warunkach osadnictwa w Bieszczadach. Przez trzy miesiące grupy złożone z pracowników Wydziału Rolnictwa i Banku Rolnego w Ustrzykach i Lesku wyjeżdżały na spotkania do wsi w Jasielskiem, Strzyżowskiem, Brzozowskiem.

Mówiono o cenie ziemi, warunkach klimatyczno-glebowych, o kredytach ulgach dla osadników, o odległości od najbliższego miasta, o problemach społecznych itp. Każda z tych informacji kończyła się propozycją: przyjeżdżajcie, zobaczcie ziemię, porozmawiajcie z tymi, którzy już tu gospodarują!

Jest w tym zaproszeniu bardzo prosty rachunek. Liczba osiedlających się jest wprost proporcjonalna do liczby tzw. „grup zwiadowczych” (termin może militarny, ale autentyczny), które przyjeżdżają na ten ekonomiczny rekonesans.

Oglądałem dokumenty, podania tegorocznych osadników. Spora ich grupa pochodzi z rejonów, gdzie o osadnictwie w Bieszczadach mówiono w sposób konkretny i fachowy.

Do odpowiedzi na wiele listów, jakie przychodzą w tej sprawie do Leska, lub Ustrzyk, załącza się informację, której fragmenty pozwalam sobie przytoczyć:

„Nabywcy samodzielnych gospodarstw rolnych przy zawarciu aktu notarialnego płać 10 proc. ogólnej wartości danej nieruchomości, a reszta należności może być rozłożona na okres 30 lat. Początek okresu spłaty następuje po trzech latach od daty zawarcia kontraktu. Oprocentowanie niespłaconej części wynosi 1 procentnie.

Nabywcy gospodarstw w całości za gotówkę mają prawo uzyskania 30 procentowy (zniżki) od całej wartości sprzedanej.

Cena jednego hektara gruntu kształtuje się w granicach od 2.000 do 7.000 złotych. Orientacyjna cena gospodarstwa 16-hektarowego wynosi od 35.000 — 48.000 złotych.

Gospodarstwa mają charakter w większości hodowlany. Obszar gospodarstw obejmuje powierzchnię od 7 do 13 hektarów.

Nabywcy samodzielnych gospodarstw mogą korzystać z kredytu Banku Rolnego na osadnictwo i zagospodarowanie się do wysokości 150.000 złotych. Na wysokości terenów osiedleńców udzielony kredyt podlega spłacie w okresie lat 10 w tym 3 lat to okres ulgowy. (Po pięciu latach następuje spłata).

Nabywcy korzystają z następujących ulg:

1. Zwolnienia od podatku od nabycia praw majątkowych.
2. Płacenia podatku gruntowego na okres trzech lat.
3. Zwolnienia od dostawy płodów rolnych i zwierząt rzeźnych na okres trzech lat”.

Jest poza tym w informacji tej klauzula, której wydaje mi się warto poświęcić nieco uwagi.

„Nabywcami ziemi mogą być tylko ci osoby, które posiadają kwalifikacje rolnicze i przygotowanie do racjonalnego prowadzenia gospodarstw rolnych.

(Dokończenie na str. 10)



Fot. A. Hadala

Rys. A. Jakubowicz  
W Jureczkowej stały wtedy baraki i szałas





**S**TOWARZYSZENIE „Zespół Pieśni i Tańca Ziemi Lubelskiej” — jego historia i osiągnięcia są wszystkim znane. Mniej wiemy o ciężkich chwilach Zespołu na przełomie lat 1957/59, o jego wielkiej roli wychowawczej i zmuśnionej codziennej pracy (zespół składający się z samych amatorów daje 100 przedstawień rocznie).

Od siódmej rano „Iga” Wachowiak tłucze z młodzieżą klasykę. Dziewczęta i chłopcy ubrani w czarne trykoty wykonują przy drewnianej poręczy, ciągnącej się wzdłuż sali prób, ćwiczenia baletowe. Iga nie lubi przerw w pracy. Wszystkie okna otwarte szeroko, a mimo to w powietrzu unosi się zapach potu.

W tym samym czasie kierowniczka Zespołu Pieśni i Tańca Ziemi Lubelskiej — Wanda Kaniorowa kompletuje w garderobie na parterze ankiety personalne członków Zespołu, potrzebne przy załatwianiu formalności paszportowych. Pierwszego lipca Zespół wyrusza na trzymiesięczne tournée zagraniczne.

Czas liczy się teraz na minuty. Decyzja o wyjeździe zapadła w ostatniej

# TO SĄ »KANIOROWCY«

MIROSLAW DERECKI

chwili. W ciągu kilku dni trzeba było wykonać ogromną pracę: załatwić bezpłatne urlopy dla pracujących członków Zespołu, uzyskać zgodę rodziców na wyjazd niepełnoletnich, zalegalizować tę zgodę w biurze notarialnym, copilnować, żeby wszyscy mieli w porządku dowody osobiste, żeby zdążyli na czas ze zdjęciami...

Za pół godziny skończy się klasyka i ci na górce będą mogli chwilę odpocząć. A kiedy wydasz już resztki zmęczenia, niestrudzona pomimo zarywania ostatnio nocy Kaniorowa wpadnie do sali i poderwie szesnaście par do oberka: — Dzieci, nie marudzić! Zabieramy się do roboty! Pierwszego lipca wyjazd do Francji. Za dwa tygodnie galowy koncert z okazji piętnastolecia istnienia Zespołu!

Oberk „Wanda”, „Osa” — obrazek baletowy, do którego muzykę napisał prof. Bryk (od kilkunastu lat prof.

Bryk współpracuje stale z Zespołem), tańce rumuńskie, tańce bułgarskie — zespół tańczy już od czterech godzin. Jest niedziela, ale Wanda Kaniorowa nie daje chwili wytchnienia. Tańczenie i śpiewanie jednocześnie — piękny wysiłek! Tylko po „starych wygach” — Ignacym i Barbarze Wachowiakach, Zosi Wakulczuk i kilku innych nie widać zmęczenia. Piętnaście lat w zespole, tysiące przetańczonych godzin...

Godzina jedenasta. Pod siedzibę Zespołu, przy ulicy I Armii Wojska Polskiego zajeżdżają autokary. Dzisiaj, w dniu Święta Ludowego w podlubielskiej wsi Piotrków, rodzinnej miejscowości przewodniczącego PWRN Pawła Dąbka, odbywa się uroczystość położenia kamienia węgielnego pod szkołę Tysiąclecia. Zespół obiecał zapewnić część artystyczną imprezy. Prosto z sali prób, narzucając na siebie w pospiechu stroje, biegną do autokaru. Dwadzieścia minut jazdy — Piotrków. Estrada zbita z nieheblowanych desek, przez cienkie podeszwy butów może wejść drzazga, ale to nie! Tańcza. Widowisko — „Jak obyczaj stary każe”, „Tańce lużyckie”, „Hopak”, „Mazur”. Jeszcze najmłodszy tancerze, zespół dziecięcy, daje obrazek sceniczny „Pierniki”. Razem godzina dwadzieścia minut. Z powrotem do wozu, dwadzieścia minut jazdy, przyjazd do bazy, błyskawiczne wylądowanie strojów i instrumentów. Zespół, na nowo przebrany w trykoty, ćwiczy oberka. Na zjedzenie obiadu w domu nie ma czasu. Dyżurni przynoszą obiad z baru mlecznego. Zabrakło naczyń. Jedzą po dwoje, po troje z jednego talerza. I znowu do ćwiczeń. Tak do godziny szóstej po południu. Razem prawie dziesięć godzin tańczenia bez odpoczynku.

Wychodząc po próbie zostawiłem całe towarzystwo roześmiane, rozgadane, jakby przed chwilą wróciło z milej wycieczki.

Zoż Wakulczuk i Ignacy („Iga”) Wachowiak są piętnastolatkami. To znaczy, że należą do Zespołu od 1948 roku, kiedy działał on jeszcze jako Teatr Młodego Widza i specjalizował się głównie w wystawianiu bajek. Od tego czasu przewinęło się przez Zespół ponad pięćset osób. Dla niektórych stał się on odskocznią do dalszej pracy artystycznej, — wywodzą się z niego Andrzej Łazuka, aktorka warszawskiego kabaretu „Pineska” — Maria Firlej, piosenkarka występująca obecnie w „Mazowszu” — Barbara Buze, kilku członków zespołu instrumentalnego studiuje w warszawskim Konserwatorium, inni wreszcie, jak „Iga”, zostali instruktorami w zespole. Wszystkich na pewno wychowywał, uczył koleżeństwu, wiązał na długie lata. Przykładem jak silnie nieraz to były więzy niech służy tutaj zacierpnięta z Kroniki Zespołu „historia Niurki”. „Przez sześć lat tańczyła Niurka w Zespole, — grała w wielu sztukach, śpiewała, mówiła wierszyki. Przyszła do Zespołu jako mała, trochę rozpieszczona, dziewięcioletnie stworzonko... Wyrobiła się przez te sześć lat na miłą dziewczynkę — o dużych stosunkowo zdolnościach artystycznych. I wtedy nastąpiła tragedia. Ojciec nie pozwolił jej należeć do Zespołu. Miała przed sobą starsze klasy liceum, a więc obawa — by nie przestała się uczyć. Któregoś dnia Niurka poszła i nie zjawiała się więcej. Czy nie miała odwagi się żegnać? I oto po pewnym czasie zjawiała się już jako dorosła dziewczyna z nieśmia-

łym pytaniem: — Pani Sorko, chciałabym wrócić do Zespołu, czy Pani mnie przyjmie?

Przez te lata wypadła z kondycji. Nie znała niemal klasyki. Ćwiczyła jednak z takim uporem, że po kilku już dniach weszła do całego programu. Ojciec jednak nie zmienił zdania przez te trzy lata. Zaproponował córce, żeby wybrała: dom, albo Zespół!

Niurka zebrała w tłumoczek wszystkie swoje rzeczy i przyszła do Zespołu. Zarząd zdecydował wziąć Niurkę pod opiekę. Rozpoczęło się... wyczekiwanie ojca pod bramą na koniec próby... ucieczki na dzień ciężarówkę z węglem... wzywania na Milejce. Przez miesiąc Niurka poruszała się po mieście tylko pod eskortą kolegów i koleżanek. Cierpiała nie na darmo. Ojciec uległ. Niurka wróciła do domu z pełnym poczuciem zwycięstwa.

Zespół ugruntował swoją pozycję artystyczną. Zaliczał się już do najlepszych w kraju. Miał za sobą dziewięć lat pracy i ponad 840 występów. I nagle, jak wiele tego typu zespołów, został przez władze centralne skasowany! Została cofnięta subwencja. Ludzie, którzy wychowali się w Zespole od dziecka zbyt jednak żyli się z sobą, — zbyt w nim wydorosli, żeby przejść nad faktem likwidacji do porządku dziennego.

...I tak oto w dniu 17 lutego (1957 r.) zakończył swój atrakcyjny żywot Reprezentacyjny Zespół Pieśni i Tańca Ziemi Lubelskiej Związku Zawodowego Pracowników Państwowych i Społecznych — powstało natomiast Stowarzyszenie pod nazwą: „Zespół Pieśni i Tańca Ziemi Lubelskiej”. Z każdym wydatkiem trzeba się liczyć. Wszystko dla sprawy — byle utrzymać Zespół! A potem przecież ktoś musi o nas pomyśleć! Nadmiar pracy wpływa niedobrze na nabór nowych ludzi. Ale są i tacy, którym podoba się właśnie ten gorący tryb życia. Ci pozostają — i po pewnym czasie jest z nich pociecha.

W tym okresie Zespół daje szereg koncertów, — zupełnie społecznie, do chód przeznaczony dla repatriantów. Jesień 1957 r. jest dla Zespołu szczególnie trudna. Długi rosna, co można z majątku — sprzedane.

...I znowu Zarząd znajduje na to radę. Tworzy się brigada robocza złożona z 4 par tanecznych, orkiestry tanecznej i solistów. Brygada ta wyjeżdża ciężarówkami mimo zima i deszczu do szeregu miejscowości prowincjonalnych, gdzie daje kilkanaście występów. Wyjazdy te, niemal cztery razy w tygodniu, trwają aż do chwili, gdy członkowie Zespołu przebiegają się — jedna z dziewcząt dostaje zapalenia płuc. Wyjazdy muszą ustać. Ale w tym czasie wpływa około 16.000 zł, które ratują Zespół od zagłady!

Pomimo rosnących wciąż długów rozpoczyna się w 1957 r. szkolenie „narybku” — powstaje Zespół Dziecięcy. Dla podratowania budżetu, Zespół nawiązuje przez pewien czas współpracę z Estradą. Znowu kilkusobowe ekipy wyjeżdżają w teren. W tym gorącym okresie „Kaniorowcy”, korzystający z niewielkiej jak na swoje potrzeby dotacji Wydziału Kultury PWRN, zbliżają się do tysięcznego występu. Uplywa dziesiąty rok pracy.

W Kronice Dziesięciolecia, anonimowy autor pisze na ostatniej stronie książki: „Jubileuszem Dziesięciolecia kończymy pierwszy rozdział z życia naszego Zespołu. Mamy nadzieję, że tych rozdziałów będzie jeszcze wiele”.

Wychowankowie Wandy Kaniorowej postawili na swoim. W okresie ostatnich pięciu lat potrafil nie tylko uratować Zespół, ale objechać niemal pół Europy własnym, pięknym autokarem. Dzisiaj szykują się do 1500 występu.

# ARCHITEKTURA POLSKA 1959 — 1962

IRENEUSZ JAN KAMIŃSKI

Otwarta w końcu kwietnia br. w Warszawie w salach rezydencyjnych Teatru Narodowego wystawa „Architektura Polska 1959—1962” umożliwiła dość dokładne poznanie aktualnego stanu krajowej architektury, urbanistyki i osiągnięć myśli konstruktorskiej. Ekspozycja poprzedziła czerwcowe spotkanie przedstawicieli stowarzyszeń architektów i redaktorów czasopism architektonicznych krajów obozu socjalistycznego, które odbędzie się w Warszawie.

Fotogramy i szkice widoczne na wystawie obrazują dorobek naszego budownictwa w ostatnich latach, przedstawiając to w sześciu działach: budownictwa mieszkaniowego; usługowego i użyteczności publicznej; sportowego i turystycznego; przemysłowego; komunalnego, komunikacji i transportu. Ostatni, szósty dział prezentuje najmniejszą polską projekcję, które brały udział w konkursach międzynarodowych. Należy podkreślić, że wystawa przedstawia projekty zrealizowane, a tym samym jest obrazem faktycznym współczesnej architektury, pomimo marginesowego potraktowania budownictwa, służby zdrowia i pominięcia działu wiejskiego, którego obiekty, nieukończone kompleksowo i dość rozproszone, decydują się wystawy dopiero w okresie następnym.

Najliczniej reprezentowany jest dział budownictwa mieszkaniowego oraz usługowego i fakt ten uwarunkował niniejsze omówienie, w którym zawarte uwagi uwzględniają sytuację architektury. Lublina w odniesieniu do reszty kraju. W stosunku do lat ubiegłych warszawski ekspozycja wskazuje na pozytywny fakt nowoczesniejszego rozwiązywania problemów związanych z urbanistyką i architekturą; z drugiej strony widać postęp w technice wykonawstwa, coraz częściej stosującego prefabrykaty. Niestety — ten ostatni problem w dalszym ciągu jeszcze pozostawia wiele do zrobienia. Oto osiedle WSM „Sady Zoliborskie”, projektowane przez arch. H. Skibniewską z zespołem. Całość interesująca skomponowana przy użyciu tylko dwóch typów budynków, o czystej i prostej architekturze, została zrealizowana metodą tradycyjną unowocześniona jedynie dzięki użyciu elementów prefabrykowanych mało i średniowymiaryowych. Budynków mieszkalnych wielokopertowych mamy w skali krajowej jeszcze niewiele, a przyczyną takiego stanu leży w zbyt małej jeszcze zdolności produkcyjnej baz prefabrykatów. Wystarczy wspomnieć, że Warszawa stosunkowo dużo budująca tym systemem (PBU) może uchwalic się zaledwie 8-procentowym jego udziałem w całości realizacji. Podobną sytuację obserwujemy w Lublinie, gdzie tylko niektóre zespoły wznoszone przy pomocy metod przemysłowych, operujących elementami wielkopłytowymi. Do nich należy wzniesione osiedle Tatarskie i budynki przy ul. Wete-

ranów, których czas powstania został skrócony z dwóch lat do jednego roku. Metoda unowocześniona były wznoszone budynki przy ul. Głębokiej, gdzie zastosowano betony jednofrakcyjne. Osiedle to powstało w wyniku powtórzenia rzutów i elewacji budynków na „Wzgórzach Krzesławickich” w Nowej Hucie autorstwa arch. w. Leonowicza, Z. Kuczerzy, J. Ingardena i in. Podobne praktyki mające na uwadze oszczędność budowania pozbawiają jednak miasto indywidualnego oblicza, a w skali krajowej wprowadzają nudę i banalizację form architektonicznych. Zdając sobie sprawę z wszelkich ograniczeń wypływających z ekonomiki, należy objaw ten uznać za nieunikniony, ale na pewno nie budzący optymizmu.

Lublin reprezentowany jest na wystawie tylko przez jeden projekt osiedla im. A. Mickiewicza; autorstwa arch. F. Haczewskiego, który decyduje Komitetu Urbanistyki i Architektury otrzymał nagrodę za r. 1962. Osiedle znane lublińskiemu nie wymaga komentarzy, a sam fakt zajęcia miejsca na tej ważnej wystawie niech będzie świadectwem jego wartości.

W dziale budownictwa usługowego i użyteczności publicznej, również licznie reprezentowanym jak „mieszkanówka”, mamy możliwość obejrzenia realizacji udane obok tych, które swego czasu wzbudziły wiele kontrowersji. Do tych pierwszych należy zaliczyć zespół szkolny „Ogród Pomologiczny” w Warszawie przy ul. Nowogrodzkiej, arch. arch. J. Baumillera i J. Zdanowicza o przemysłowej funkcji i pawilonowej architekturze, a także warszawski bar „Wenecja” (arch. arch. Z. Inhatowicza, J. Soltana, A. Szepepańskiego). Nieco podobny w układzie kombinat restauracyjny powstanie w Lublinie przy zbiegu ulic Lipowej i Krakowskiego Przedmieścia.

Wśród dyskutowanych swego czasu realizacji można wspomnieć o pawilonie meblowym w Gdańsku, nieuzasadnionym urbanistycznie, rozbijającym powiązanie przestrzeni Placu Węglowego z zielenią Wałów Jagiellońskich. Także sanatorium „Hutnik” w Szczawnicy, J. Nowickiego, poprzez swoją punktową, wielokondywnacyjną sylwetkę i proste, przeszklone elewacje zdaje się być czymś obcym w architekturze miasteczka zabudowanego stosunkowo niską, „zakopłańską” architekturą, tym bardziej, że plany regionalne nie przewidują Szczawnicy jako dużego kurortu, leczba mieszkańców i kuzaclasy usprawniającego podobną realizację. Z drugiej strony, budynki nowocześnie doskonale zdają egzamin w terenie górskim i, co potwierdza praktyka innych krajów, bliski jest czas, kiedy stana się coraz częściej spotykany w podobnych rejonach.

Interesujące rozwiązanie pawilon meblowy w Warszawie, zaprojektowany przez arch. J. Kocielekiego i S. Borowego, pod względem kubatury odpowiada zatwierdzonemu do realizacji w Lublinie przy ulicach M. Buczka i Rusalki (autor — ulicach. Zochowski, SAPP — Lublin). Na marginesie tego ostatniego; konieczna jest likwidacja przetrzonych bud. magazynów i warsztatów rzemieślniczych otaczających teren przyszłego pawilonu.

Warszawskie ekspozycja potwierdza rozwój budownictwa usługowego. Ciekawszą architekturą nowoczesną konstrukcją dbałość o stronę funkcjonalną obiektu — to niedawne i czestokroć szczęśliwie realizowane warunki każdego wartościowego budynku.

Wśród pozostałych działów najszerzej potraktowano budownictwo przemysłowe.

(Dokończenie na str. 12)



JAN GOLKA

## do moich córek

kocham ten kasztan co płonie przed  
i tego pana co prowadzi psa  
kocham rozmowę prowadzoną z Mamą  
kocham gdy się śmieje  
kocham gdy jest zła  
kocham to miasto z wszystkimi domami  
niebo i ziemię płoty i latarnie  
i ludzi którzy chodzą ulicami  
ubranych pięknie i ubranych marnie  
kocham te panie w cieniu sukienki  
i tamtą ze śmieszny bachorem na ręce  
i kocham Was Córeczki  
Agnieszka i Anię

ale to już inne zupełnie kochanie

dwa ziarenka na ścieżce  
słońce i deszcz dzień noc lato lato  
jakby to powiedział Ani i Agnieszce  
że dawać wszystko i nie nie chciać za to  
że czuć do końca że ochraniać stale  
że ufać zawierzać wybaczać najczęściej  
to wszystko w tym kochaniu jest  
i szczęście

## smutek

smutek nie ma żrenie  
dlaczego czynisz mnie niewidomym

nalej w me oczy oliwy nadziei  
przylutemienem policzka  
otarciem ramienia  
nocą zaplęcioną palcami

smutek nie ma żrenie  
jego usta zrosnione są w bładą bliźnię  
dlaczego czynisz mnie niemową

rozetnij moje wargi  
przylutemienem policzka  
otarciem ramienia  
nocą ciepłą jak skóra

BEATA BATUK

## Krzew

Gdy podajesz mi swą twarz  
[do odgadnięcia  
światło szybko nacina na niej  
linii gęstość

I jesteś krzewem.

Pragnę ptaka uwięzić w tobie  
i o deszcz proszę jak o sen dobry.

Wiem, że myślisz o dotyku nieba,  
boli tak bardzo kiedy gaśnie,  
i czekasz, aż zstąpi na ciebie  
pragnienie wiatru.

Z krzykiem łamię twoje gałęzie,  
aby uwolnić ptaka.  
Ziemia musiała znać dotyk nieba,  
jest pulsująca od wewnątrz.

BOGDAN PASTERNAK

## Fotel

Kiedy jestem wgnieciony  
w twoją miękkość  
to wcale nie znaczy  
że jestem z tobą  
Wyobraźnia jak włóczęga odchodzi  
od odległych miast  
Przysiadam w fotelu  
Moulin Rouge de Paris  
zbieram uśmiechy kobiet  
jak kwiaty w Ogrodach Semiramidy  
Kiedy jestem materialnie złączony  
z tobą  
to nigdy nie jestem gdzie jestem  
Przyginam brzozi horyzontu  
albo zapach świata zamieniam  
w krople atramentu  
Tapieer  
który ciebie uczynił  
czy miał na względzie  
dalekie podróże moich myśli.

HENRYK JACHIMOWSKI

## z pamiętnika

(dnia 24 września) dzień wyjątkowy  
po spowiedzi z drzewem  
znałem siebie na tyle ślubowałem  
uczucie  
było bezgraniczne  
nie potrafił tego zapisać  
uczony urzędnik

(27) deszcz  
zanosilo się na opady za kolnierze  
myślałem o użyciu  
słów przed burzą

(10)  
list anonimowy niby  
do niego do kogo gdzie tu taki  
[chciałem

na twarzy jego  
wrócić uśmiech

(15 marca) — Cypriana  
odezwalo się we mnie zwierzę

KONSTANTY TARNOWSKI

## Wiosna

Tyle tu złota  
nawykano w zieleń  
sędziwy Leopold mawiał  
że to oficerskie dystynkcje  
a moja żona  
nazywa to mleczem  
zanim zdecydowałem się  
powiedzieć coś o tym  
powiało białym puchem  
pomyślałem zryżliwie  
spróbniące złoto

## Tarnina

Tym nawet koza  
nie pożywi się do syta  
płomień się nie nalize  
a ziemia to pasie  
i maj oblepia białością  
zdradliwe kolece  
strzeże to swego nasienia  
okrągłością zielonej trucizny  
do krwi się wzepia  
głaskane przyjazną dłonią  
dopiero gdy chłód Świętej Barbary  
zabije w tym gorzyc  
winem spływa  
pokonane odziewa się w czerń  
i porażkę swoją  
czej manifestacyjne pogrzebem.

ADA KOPCIŃSKA

## Niepokój

To jest płaszczyna której  
nie obejmiesz  
to śniegu chustka zsunięta  
z mych włosów  
na drzew gałęzie  
to jest splot palców wydłużonych  
w sople  
pod dachem uczuć.  
Na tę pokrywą  
słońce zimowe cień rudawy  
rzuca  
cień sunie pyskiem szukając  
przerębił.

Wyodrębniony  
wycięty słowami kwadrat czułości  
z rudym cieniem lisa  
z wleczną pokrywą  
śniegów i lodowisk  
jest naszym domem.

**C**ENTRALNE eliminacje X Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego wrocławiu dobiegły końca. Kończyły się pełne emocje chwile wyprzedzenia: na występ, na reakcję młodej widowni (w większości stanowiącej ją koleżki — recytatorzy) na werdykt sądu. Ogłoszono wreszcie ostateczne wyniki konkursu, a sala Teatru Rozmaitości długo huczała oklaskami po słowach wiceministra kultury i sztuki Kazimierza Rusinka, który w niezwykle ciepłych słowach mówił o konkursie, o roli poezji w naszym życiu, o roli krzewiciela kultury mowy ojczystej.

Potem przewodniczący jury, dyrektor Rozmaitości — Adolf Chronicki, omówił bieżący konkurs, laureaci z mniejszą już treścią wystąpili w połączonym koncercie — zmagania kilku młodych dni pozwolił przechodziły do historii. Nie wszyscy jednak od razu rozjechali

się do domów. Część recytatorów i jurorów spotkała się tego dnia wieczorem w Klubie Dziennikarza na lampce wina.

Wykorzystaliśmy tę okazję, żeby porozmawiać o konkursie z członkiem jury — Krystyną Mazur, konsultantem dykcji i wiersza Teatru Narodowego w Warszawie.

A. G. — Zaczniemy od sakramentalnego pytania: jak by Pani scharakteryzowała obecny, jubileuszowy X Konkurs Recytatorski?

K. Mazur — W przeciwieństwie do ubiegłorocznych konkursów nie miał on rygorystycznych założeń tematycznych. Sugerowaliśmy pewne tematy, jak np. XX Rocznicę Powstania w Getcie Warszawskim, czy Tysiąclecie Państwa Polskiego, nie stwarzając jednak warunków przymusu repertuarowego. Założeniem było danie uczestnikom jak największych możliwości wypowiedzenia się w wyborze repertuaru.

A. G. — Czy dało to spodziewane rezultaty?

K. Mazur — Nie w takim stopniu, jakbyśmy sobie tego życzyli. Trochę źle nas zrozumieli, ogólnie bowiem dominowała tematyka współczesno-martyrologiczna z wyraźną przewagą nad klasyką. Np. Słowacki w tegorocznym konkursie mówiony był tylko dwa razy, a Mickiewicz cztery.

A. G. — Czyżby więc współczesny styl interpretacji, który obecnie ogólnie się przyjęł, w jakiś sposób „nie pasował” do klasyki?

K. Mazur — Nie, to zależy w dużej mierze od inwencji recytatora. Rzecz polega przede wszystkim na znalezieniu odpowiedniego klucza do każdego tekstu. Klucza, który by potrafił otworzyć nam tekst wy pukając niedostrzegalne jego walory. I w jasny i konsekwentny sposób przekazując intencję autora.

## O lubelskim sposobie kształcenia widza

Od dawna Lublin, miasto młodzieży i wyższych uczelni, uchodzi wśród fachowców za miasto bardzo teatralne — jeżeli chodzi o widownię. Na takim właśnie terenie mogło dojść do założenia Studium Kultury Teatralnej, pierwszego przedsięwzięcia tego typu w Polsce.

Studium powstało z inicjatywy kierownictwa Lubelskiego, obecnie Wojewódzkiego, Domu Kultury. Pomyśli ten poparł Teatr im. J. Osterwy, ZSP i Studium Nauki i Sztuki. STK postawiło sobie zadanie wychować kulturalnego widza, przygotowanego do odbioru trudniejszych sztuk, posiadającego pewien zasób wiadomości teoretycznych i praktycznych. A więc ani ambicje naukowe, ani kształcenie reżyserów zespołów amatorskich, ale jak najlepiej pojęta popularyzacja sztuki przez uwrażliwienie estetyczne i wzbogacenie wiedzy o teatrze.

Uczestnicy Studium zajmują się polskim teatrem współczesnym, wiadomości historyczne służą tylko do ustalenia genezy stanu obecnego.

Rzecz jest zaplanowana na sześć semestrów, czyli trzy lata. Jeśli chodzi o wykładowców, posiadane środki lokomocji pozwoliły na zatrudnienie sławnych teatrologów, krytyków, reżyserów i aktorów, takich jak prof. dr I. Sławińska, E. Csato, A. Bardini, W. Siemion.

A. G. — A teraz przejdźmy do programu. Oczywiście interesuje nas najbardziej opinia sądu o województwach lubelskim, białostockim, kieleckim, rzeszowskim.

K. Mazur — Cóż, i tutaj widzimy zmiany, podobnie jak w poprzednim konkursie. W województwach czterech ośrodków: województwa — warszawskie, kowalskie, miasto Wrocław i, co było dla nas dużą niespodzianką, województwo białostockie. W przypadku Rzeszowa było chyba dużo nieporozumień w lonie samego sądu wojewódzkiego, stąd gorzkie wyniki Białostocznina spisała się bardzo dobrze, czego dowodem nagrodzenie pięciu spośród 7 przystępujących do centralnych eliminacji. W związku z tym postanowiliśmy również nagrodzić przynajmniej jednego z instruktorów przygotowujących młodzież do konkursu. Laureatem został polonista z II Liceum

ceum Ogólnokształcącego p. Zdzisław Chruściak.

A. G. — Jakie ogólne wnioski nawiązują się Pani po zakończeniu centralnych eliminacji Konkursu?

K. Mazur — O ile poziom interpretacji u wszystkich niemal uczestników był wyrównany, o tyle dobór repertuaru ciągle pozostawia wiele do życzenia. Myślę, że winą za to trzeba równomiernie obarczyć tak recytatorów, instruktorów, jak i niektóre komisje wojewódzkie. Zły dobór fragmentów większej całości, utwory pseudo-ludowe, czy zmanierowanych lokalnych poetów — to główne braki w tej dziedzinie.

A. G. — Z początkiem czerwca będziemy mieli w Białymstoku Festiwal Teatrów Poezji...

K. Mazur — Tak. Nie wiem jeszcze, czy zasiądę w jego jury, ale już dziś mogę powiedzieć, że spodziewamy się po tym święcie poezji wiele. Pesymści twierdzą, że teatrów poezji mamy w tej chwili w Polsce ok. 200, optymiści skłonni są liczyć że zaokraglić do... 600. Sama wiem o kilkunastu takich teatrzykach w Warszawie nigdzie nie zarejestrowanych. Jako dalszy krok w indywidualnej recytacji taka forma teatralna ma w tej chwili największe możliwości, powiedziałabym żywiołowego rozwoju.

Była już późna noc, kiedy zakończyliśmy rozmowę. Ostatni uczestnik, przeważnie laureaci konkursu, dzieląc dyplomy i wiązanki kwiatów opuszczali gościnnie Klub Dziennikarza. Z większością z nich spotkamy się jeszcze raz w tym roku na Ogólnopolskim Festiwalu Teatrów Poezji. O nim w jednym z najbliższych numerów „Kamery”.

Rozmawiał:  
Aleksander Gabrusiewicz

Warunkiem przyjęcia było wykazanie przynajmniej średnie i odbycie rozmowy orientacyjnej z organizatorami. Chętnych było wielu, ostatecznie przyjęło 100 osób plus lista rezerwa. Regulamin jest dość rygorystyczny, dwukrotnie opuszczenie zajęć powoduje skreślenie z listy.

Skład osobowy jest dość różny, większość, około 65 proc., to studenci, inni to ludzie różnych zawodów: pielęgniarzy, technicy, matematycy, lekarze. Wszyscy oni otrzymali specjalne legitymacje uprawniające do nabycia wejściówek w teatrze lubelskim.

Formy zajęć — to wykłady i ćwiczenia praktyczne. Na I semestrze zajmowano się problemami inscenizacji, jej ogólnymi założeniami i stosunkiem do tekstu. Zrobiono to na przykładzie dzieł koncepcji inscenizacyjnych „Dziadów” (wykład J. Kreczmar) i inscenizacji K. Dejmki „Historii o chwalebny młodym zmartwychwstałym pańskim” Mikołaja z Wilkowiecka. Siostrzyczki Studium wyjeżdżali na przedstawienia teatralne np. „Franka V”, „Przefony” i „Króla Edypa”.

Warunkiem zaliczenia I semestru było zdanie kolokwium, na które trzeba było przygotować jeden z wcześniej podanych tematów, np. tekst sztuki a interpretacja Dejmki, własna interpretacja wiersza, przedstawienie własnej koncepcji inscenizacyjnej jakiejś sztuki.

Semestr ukończyło 118 osób, poziom słuchaczy znacznie się podniósł.

Na semestrze II przewidziano są zagadnienia reżyserii i warsztatu aktorskiego. W czasie wakacji zostanie zorganizowany obóz szkoleniowo-wypoczynkowy z udziałem ludzi teatru.

Chociaż Studium ogranicza się do kształcenia widza, wpływ jego na studencki ruch teatralny jest bardzo widoczny. W bieżącym sezonie powstało parę nowych teatrzyków studenckich, ich członkami są w większości wypadków słuchacze Studium. Słowem inicjatywa pionierska wypracowująca własne metody działania.





# Półksięzyc nad Podlasiem

MIECZYŚLAW CZAJKOWSKI

Szahada — wyznanie wiary muzułmanów

### MOTTO:

Taką pieśń... dziwnej do smutku podniety  
Spiewając... czarny modrzew z czarnym cisem,  
Tuląc skrzydłami wygnaniec meczety  
I groby z dawny Koranu napisem...  
Juliusz Słowacki — „Beniowski”.

**D**ZIEN 5 maja jest rajem dla sokólskich taksjarszy. Już od samego rana polscy Tatarzy, zamieszkali licznie te strony, śpieszą na doroczną uroczystość „Kurbam Bajram” do meczetu, znajdującego się we wsi Bohoniki, odległej stąd o 7 kilometrów.

Wieś nie różni się od innych w tym rejonie: domy drewniane o dachach krytych słomą, rzadziej dachówką lub blachą. Tylko nad dachami wznosi się wieżyczka meczetu. „La illaha illallah Muhammadun rasul allahi” — wydzierają się z setek ust słowa obce mowie tych ludzi, a jednocześnie na swój sposób im bliskie, bo będące wyrazem duchowej więzi z braćmi w Allachu zamieszkującymi ziemie Południowej Azji, Bliskiego Wschodu i Afryki Północnej.

Meczet jest za mały, by pomieścić wszystkich, którzy przybyli tu dzisiaj w uroczystym dniu Kurbam Bajram. Wychodzą więc na plac przed świątynią. Imam Machmed Olejkiewicz ubrany w długą, czarną szatę, z fezem na głowie, dotyka ręką najprzedniejszego barana, który zostanie ofiarowany Allahowi. Potem rozdzieliwszy wśród siebie ofiarowany dar pokłonią się wszyscy w stronę ozdobnego okienka meczetu, tzw. „michrab”, wskazującego kierunek Mekki — miasta świętego islamu, i rozjadą się do swoich domów. Ale nie wszyscy. Niektórzy udadzą się na pobliski cmentarz, by pomodlić się nad grobami krewnych, znajomych.

Wiosna jest w całej pełni. Na bohnickim cmentarzu, zwanym z arabska „mizar”, gromadzą się grupki mabometan. Na drzewach pokrytych rozwijającymi się dopiero liśćmi wesoło ćwierkają szpaki i nasze rodzime wróble. Nie ma nic z egzotyki. Grobowce kamienne, piaskowe, rzadziej wykładane płytami z marmuru, podobne są do tych, jakie widzi się na chrześcijańskich cmentarzach. Dopiero, gdy podejdziesz bliżej i nachylisz się nad kamienną tablicą, dostrzeżesz złoty półksiężyc i obok polskiego napisu arabskie litery... przyglądasz się im ciekawie, ale skoro nie jesteś orientalistą, nic ci one nie mówią. Czytasz więc po polsku: „Tu spoczywa Sługa Proroka Lejla... (i polskie nazwisko). Aladyn... Emir... Kamila... Fatyma... i szereg innych dźwięcznych imion, znanych dobrze z baśni „Tysiąca i jednej nocy”. Rozglądasz się ciekawie po skupionych twarzach i dopiero teraz dostrzeżasz w nich to, co uchodziło dotąd twojej uwadze; te twarze kryją zagubione w sobie przez wieki antropologiczne elementy wschodnie. Oto u mężczyzny o słowiańskich, niebieskich oczach dostrzeżasz ostro zarysowane kości policzkowe, a u tamtej przystojnej dziewczyny o pociągłej twarzy — głęboko osadzone oczy pod wąskimi, nieco skośnymi powiekami.

Kiedy zdumiony tym odkryciem wybiegasz okiem poza mur cmentarza, przyskają resztki Orientu. Na bliskim wzgórzu pilnuje owiec pasterz w baranich kożuchach — typowy obraz sokólskiego chłopca, a w dole,

\* „Nie ma żadnego Boga poza Allahem, a Mahomet jest jego sługą i wysłannikiem”.

nad strumykiem stoją rzędem pękate, „ostrzyżone” wierzby...

W takim oto pejzażu tkwi zamieszkała tutaj od wieków grupa ludności pochodzenia tatarskiego.

Bohnicki „mizar” zwiedzałem w towarzystwie muzułmanina urodzonego w tych stronach. Zna on świetnie dzieje tatarszczyzny w Polsce, toteż z przyjemnością słuchałem jego opowieści.

— Wie pan — mówił z emfazą — nasi przodkowie przyjeżdżali tutaj już w XIII wieku. Ale niech pan nie kojarzy tego z Legnicą — zastrzegł się. — Tam to było co innego. My tu, panie, legalnie, że tak powiem, emigracja polityczna. Słyszał pan o tarcjach wewnątrz „Złotej Ordy”? — Przytaknąłem.

Przyjrzałem się jego twarzy. Była szeroka, koścista. Oczy miał jednak szare, wyblakłe, o złotawym połysku. Niewiele zachował w sobie tatarskiej krwi.

— A potem zaprosił nas Witold, Wielki Książę Litewski — ciągnął dalej swoją opowieść — Osiedlili się wtedy Tatarzy nad rzekami: Wilgą, Waką i Niemnem, a także na Białostocczyźnie i Lubelszczyźnie w okolicach Białej Podlaskiej.

Dalej usłyszałem historię o „złotym wieku” Tatarów na naszych ziemiach. Było to, jak twierdził mój rozmówca powołując się na różne dokumenty, w XVI wieku, głównie za panowania Zygmunta Augusta. Ludność tatarska, licząca wtedy kilkadziesiąt tysięcy osób, cieszyła się wielką swobodą obywatelską (Sejm Lubelski w 1569 roku zezwolił na zakładanie meczetów i szkół). Tatarzy zadziwiali kunsztem w wyrobach ze skór i cennych safianów. Zasłynęli też i w ogrodnictwie. Ale większość z nich już wtedy zajmowała się hodowlą i rolnictwem.

— A jak z tą historią meczetów znajdujących się na Białostocczyźnie? — zapytałem, kiedyśmy się zbliżali do malej drewnianej świątyni uwieńczonej wieżyczką z półksiężcem.

— O tym meczecie niewiele będę mógł panu powiedzieć. Odbudowywany był kilka razy i przebudowywany, tak że obecnie wygląda jak nowy. Mogę tylko podać bardzo płynną datę historyczną, mianowicie tę że oba meczety, a więc nasz bohnicki i tamten, w Kruszyńianach, zostały wzniesione po 1679 roku. Nie wcześniej też był wybudowany nie istniejący już teraz meczet w Studziance na Lubelszczyźnie.

Zawsze urzekal mnie Wschód. Nie oparłem się więc i tym razem propozycji obejrzenia wnętrza tej skromnej, ale przecież bardzo interesującej świątyni.

Meczet był prawie pusty. Zdjęliśmy w przedsiönku pantofle, nakryliśmy głowy, by zadość uczynić zwyczajowi (nie obmyśliłyśmy tylko nóg, jak to czyni się na Południu, ale w tej szerokości geograficznej nie jest to praktykowane), i zaczęliśmy zwiedzanie od miejsca modlitwy mężczyźni. Była to dość duża sala o drewnianej podłodze, wyłożona barwnymi dywanami. Na ścianach, na zielonym suknie oprawionym w złoczone ramy, widniały ozdobne wersety z „Koranu”, pisane w języku arabskim. Obok nich wieńce z naturalnych liści i kwiatów.

— A to co? — wskazałem na przedmiot przypominający tron z baldachimem.

— To „mumbier”. Stąd duchowny odczytuje Koran i prowadzi modlitwy. A tamte ozdobne „okienko” znajdujące się obok to „michrab”. Jest to miejsce wskazujące kierunek Mekki i Medyny — miast świę-

tych islamu. Słyszał pan chyba o obowiązku pielgrzymki do tych miejsc. Otóż kiedyś w dawnych czasach pielgrzymowali nawet ślad nasz Tatarzy. Ostatnim, który odbył tak daleką podróż, był Aleksander Illasewicz. Jego krewni zachowali do dzisiaj „chamall”, czyli brewiarz pielgrzyma, wraz z jego notatkami, poczynionymi w podróży. Było to w roku 1913.

Zadziwiła mnie erudycja mego towarzysza. Mówił bez zająknięcia, jak gdyby recytował wyuczony tekst.

— A ten dywan ofiarowany został meczetowi przez rodzinę i przyjaciół inżyniera Smońskiego, który zginął bohatersko podczas pracy w laboratorium Politechniki Głiwickiej, gdy wynosił przed pożarem butlę z płynem zapalnym...

Dopiero teraz dostrzegłem na dywanie napis: „Na pamiątkę tragicznej śmierci naszego ukochanego brata”. Gdzieś słyszałem już o tym czy też czytałem w gazecie.

— Z naszego grona wyszło wielu wybitnych ludzi. Obecnie mamy takie znakomitości, jak profesora doktora Osmana Achmatowicza, wykładowcę Politechniki Łódzkiej, inżyniera Bekira Assanowicza, znanego konstruktora, który z grupą polskich specjalistów opracowywał projekt odbudowy kolei „hedzaskiej”. W grudniu 1955 r. bawił on w Syrii. Przy okazji zawiązał z sobą pismo Muzułmańskiego Związku Religijnego w Polsce, które wręczył Wielkiemu Muftiemu Syrii w Damaszku. W piśmie tym muzułmanie polscy pozdrawiają swych współwyznawców w krajach arabskich, życząc im szczęścia i pokoju. Ta wizyta miała wadzywać nie tylko kulturalną. W jakimś sensie na pewno zbliżyła Polskę do świata arabskiego, przysparzając autorytetu naszemu krajowi w świecie muzułmańskim.

Teraz mój przewodnik zaprowadził mnie do miejsca modlitwy kobiet. Było to pomieszczenie o mniejszych rozmiarach i bardziej skromnie urządzone. I tu były wzorzyste dywany i cytaty z Koranu na zielonym płótnie, oprawione w pozłacane ramy.

Mój towarzysz objaśniał wszystkie szczegóły, operował faktami, zdarzeniami historycznymi, danymi liczbowymi.

— Przed wojną było nas 6 tysięcy, obecnie tylko 2. Niemcy wymordowali dużo naszych ludzi, wielu się rozsyłało po świecie. Między innymi w Piaśnicy pod Wejherowem został zamordowany Leon Najman Mirza Kryczyński, który w latach międzywojennych zajmował się historią Tatarszczyzny w Polsce. Było to gdzieś na przełomie lat 1939—1940. Ale chyba zaudzam pana tą historią...

— Ale skądże! Wręcz przeciwnie.

— Bo wie pan, ciągle mówię „Tatarzy”. A właściwie Tatarami jesteśmy tylko z pochodzenia, bo tak naprawdę to czujemy się Polakami. Siedzimy tu przecież od dziesiątków pokoleń, nie znamy języka przodków, ztratiliśmy nawet ich obyczaje. — Tu mój rozmówca zamyślił się, spoglądając w okno na czerwone niebo, ostatni refleks zachodzącego słońca. Stałmyś tak przez chwilę w milczeniu. Wreszcie odezwał się:

— Pan nie uwierzy, ale denerwuje mnie to, że w naszej historii słowo „Tatar” kojarzy się z luną pożarów, z grabieżą, mordem... A przecież jest druga strona tego medalu. Tatarzy polscy, obrońcy swej nowej ojczyzny. Pan chyba słyszał: Grunwald, Koronowo, bitwa pod Perkanami, Konfederacja Barska, powstania: listopadowe i styczniowe, nawet ostatnia wojna...

— Wiem, wiem, słyszałem.

— Tak oto przebiegła historia i weszliśmy we współczesność — powiedział z uśmiechem mój przewodnik, kiedy opuszczaliśmy meczet.

A współczesność dała znać o sobie już u progu meczetu, gdzie stały sokólskie taksówki zabierające właśnie ostatnich pasażerów.

Kiedy zegnałem mego milego przewodnika, było już prawie ciemno. Tylko na zachodzie gasły ostatnie odblaski słońca, tak przypominające lunę pożarów. Bronielem się, by nie skojarzyć tego w tej chwili z lunami Legnicy, Sandomierza. Pomógł mi w tym mój przewodnik.

— Wszystkim, których interesują różne relikty etnograficzne w Polsce — powiedział ścisłkając mi mocno rękę — cytuję słowa naszego wielkiego orientalisty Tadeusza Kowalskiego: „Cała kula ziemska jest pokryta mniej lub więcej widoczną, mocno poplątaną siecią związków i żyje jednym życiem całej ludzkości”...

## WSPOMNIENIA Z TANGANIKI (2)

(Dokończenie ze str. 4)

dami i ciskając nimi do celu ponad głowami nieproszonych gości. Skończywszy taniec wyprowadzili je na drogę. Nie sądzę, by nie zrozumiały tego wymownego gestu. Ano cóż, my home is my castle.

Pakujemy walizki. W zamieszaniu zostawiamy malimbo i dzię. Jedyne pamiątki to zdjęcia i kilka kwiatów z wienca Kibo. Kwiaty wykruszyły się na prosek. Została trwalsza od nich pamięć o ludziach bardzo biednych, bo pozbawionych praw przysługujących człowiekowi bez względu na kolor jego skóry.

Moje wspomnienia o Tanganice łączą się z życzeniami, aby już nigdy na drogach budowanych przez Murzynów nie było tablic z napisami: „For Europeans”.

Objaśnienia: Simba kufa — lew zabity, Malimbo — pudełko rezonansowe w kształcie prostopadłościanu z kilkoma sprężynkami. Kanga — chusta perkalowa drukowana w czerwono-czarny desień.

Wanda Dryłowa



Boobib Morogoro



**P**OZORNIE miasto jest takie samo, jak przed laty. Bujna zieleni kryje wszystkie jego niedostatki, przyobłeka Puławy w strojną szatę. Zmiany tu trudno dostrzec. Ale oko obserwatora zauważy wzmocniony ruch komunikacyjny. Jezdnie są w pewnych chwilach jakby przepelnione, jakby za wąskie. Duszą je w nich samochody, z trudem przełaskają motocykle. Choć sezon turystyczny rozpoczęty — nie są to bynajmniej jego oznaki, lecz świadectwo obecności wielkiej pani nazwiskiem CHEMIA.

Każdy wie — bo gazety „trafiły” o tym na wszystkie strony — że ów flirt nawiązany został z Puławami przed dwoma laty. Pani Chemia podążyła wówczas ręką świetlanej przeszłości miasta i przyrzekała, że postara się o renesans „Polskich Aten”. Choć ostrożność skłania raczej do sceptycyzmu, w Puławach można być optymistą. Piękna, bogata, a nade wszystko bardzo nowoczesna pani nie zakończyła bynajmniej na filircie, lecz rzecz całą sfinalizowała mariażem z miastem. Z owego małżeństwa — polskim zwyczajem — liczenie rodzą się dzieci. Dzieci pani Chemii to szczególnego rodzaju potomstwo: będą to więc obiekty przemysłowe, inwestycje towarzyszące, rozliczne przemiany, które niewątpliwie nastąpią pod wpływem „Azotów”. Zresztą część tych przemian już zaszła w Puławach.

Osiedliło się już kilkudziesięciu ludzi wielkiej chemii — inżynierów z Zakładów Azotowych „Puławy”. Wbrew przypuszczeniom nie są to sami chemicy. Pani Chemia jest tak wymagająca, że potrzebuje fachowców niemal wszystkich dziedzin. Jest więc w „Azotach” nawet inżynier leśnik, nie mówiąc o mechanikach, elektrykach. Ludzie ci — w granicach lat 30 i niewiele ponad — tworzą nową grupę zawodową w Puławach, miście dotychczas niezwykle ubogim w zawody techniczne.

Inżynierowie nie przyjechali do Puław z przypadku. Wiadomo bowiem, że budowa kombinatu potrzebuje fachowców. Ale to jest tłumaczenie tylko w części słuszne. Istotniejsze dla przyszłości kombinatu i samego miasta wydaje się to, że przynajmniej co drugi z inżynierów jest rodem z Lubelszczyzny. A jeśli pozostali pochodzą z innej części Polski, to murowane, że ich żony mają gdzieś w Lubelskim rodzinę. Przyjechali więc inżynierowie z myślą o pozostaniu w Puławach, o osiedleniu się na stałe. Fakt ten, mało przez kogo dostrzegany i podkreślany, ma kapitalne znaczenie. Dzięki temu Puławy zyskują patriotów lokalnych, ludzi, którym dobro miasta i regionu jest bliskie.

Pani Chemia jest znakomitą nauczycielką. Kto przez lat kilka był pod jej opieką, ten nie tylko posiadał konkretne umiejętności fachowe, nauczył się żelaznej dyscypliny zawodowej, ale zdobył ponadto umiejętność społecznej pracy. A skoro kilkudziesięciu inżynierów z puławskich „Azotów” staż taki u pani Chemii odbyło z nawiązką (wiele po lat kilkanaście), mamy więc znakomitą kadre nie tylko techniczną, lecz i społeczną.

Zresztą już konkretne fakty o tym mówią. Ot, choćby uniwersytet powszechny o kierunku chemicznym. Nikt wprawdzie inżynierów nie namawiał do tworzenia takiej placówki, ale sami uznali potrzebę jej bytu. Efekt był taki, że od jesieni do wiosny w dziesięciu miejscowościach powiatu puławskiego odbywały się stałe prelekcje o ABC wielkiej chemii. Ze inicjatywą okazała się słuszna, że znalazła właściwy oddźwięk społeczny — o tym najlepiej świadczy olbrzymia frekwencja na wykładach. Towarzyszyło jej nie mniejsze zainteresowanie słuchaczy. ABC wielkiej chemii było zachętą dla młodzieży do obrania pięknego zawodu chemika, było też robotą w ściśle tym słowa polityczną — ukazywało wielką inwestycję gospodarki narodowej, mówiło o celu i znaczeniu „Azotów”.

Uniwersytet powszechny o kierunku chemicznym — dziecko inżynierów z puławskich „Azotów” — był dowodem oczywistym, że przybysze nie zasklepiają się w kręgu swych spraw zawodowych, czy też rodzinnych, lecz mają ambicje podejmowania śmiałych inicjatyw, będących dobrze przemysłową i wykonaną pracą społeczną.

Na tym bynajmniej nie kończą się poczynania inżynierów z „Azotów”. Zachwycając się zielenią Puław, wie-

dząc, że to najwspanialszy walor dekoracyjny miasta, chcą go wzbogacić w nowe ośrodki zieleni. To przyszłowiec członkiem koła Stowarzyszenia Inżynierów i Techników Przemysłu Chemicznego, że wykonali czynem społecznym dokumentację budowy parku leśnego. Ów park, pełen krzewów, trawników, będzie miał specjalny teren przeznaczony dla dzieci: piaskownice, brodziki, urządzenia zabawowe. Już obecnie inżynierowie rozpoczęli pierwsze społeczne prace przy budowie tego nowego ośrodka zieleni w mieście.

Ekonomiści obliczają, że pani Chemia poprzez puławskie „Azoty” dokona swego rodzaju rewolucji. Ta rewolucja kryje się w wyliczeniu: zakłady po wybudowaniu produkować będą rocznie pół miliona ton amoniaku. Przerobienie go na 830.000 ton mocznika umożliwi zwiększenie o 20 kg na ha wydajności nawozów azotowych (przy obecnych 17 kg na hektar). Będzie to podstawa do zwiększenia plonów zabezpieczająca przed importem żywności i pasz, tak dotkliwie odczuwanym przez naszą gospodarkę. Kombinatu wraz z przedsiębiorstwami budowlanymi umożliwi zatrudnienie 10 tys. ludzi. Nasyci rejon Puław zasobem plac rzędu 300 milionów złotych rocznie.

Nim to jednak nastąpi, upłynie w Wiśle pod Puławami sporo wody. Ambicją inwestora, czyli Zakładów Azotowych „Puławy”, jak też i wykonawcy — Puławskiego Przedsiębiorstwa Budownictwa Przemysłowego, jest zakończenie budowy w przewidzianym terminie i nieprzekroczenie planowanych kosztów inwestycji — 7 miliardów złotych. Czy to jest realne?

Pani Chemia jest nader rozumną kobietą. Puławskie „Azoty” mają być sumą dotychczasowych doświadczeń w budowie wielkich inwestycji: Nowej Huty, Turowszowa, Plocka, Kędzierzyna. Chodzi po prostu o uniknięcie jeśli nie wszystkich, to przynajmniej podstawowych błędów popełnionych przy tamtych budowach. Nauka na własnych błędach sama w sobie jest już wartościowa. Gdyby przyszło jeszcze potwierdzenie w praktyce — rzecz byłaby znakomita.

Jedno w tej chwili jest już pewne: „Meksyku” w Puławach nie będzie. Ta opinia powtarzana w prasie, w radiu, w telewizji, wśród robotniczych załóg, już sama przez się powoduje unikanie budowy przez „obiboków” i „niebieskich ptaków”. Olbrzymia selekcja w przyjmowaniu do pracy w Zakładach Azotowych „Puławy” wyklucza niemal zupełnie możliwość zatrudnienia jednostek bezwartościowych. Sprawa znacznie trudniejsza jest w Puławskim Przedsiębiorstwie Budownictwa Przemysłowego. Ale i tu również „niebieskie ptaki” mają nikłe pole do działania. Sprawa mimo to nie jest jeszcze bynajmniej rozwiązana. Kłopot zalogą pozostaje: sprawia go załoga. Załoga bez przemysłowych tradycji, doświadczeń. Gros robotników wywodzi się z ubogich okolic Baranowa, Gołębia, Janowca. Są to najczęściej właściciele karłowatych gospodarstw rolnych. Nie wdrożeni do wymagań wielkiej budowy, nie rozumiejący jeszcze dostatecznie dobrze odpowiedzialności wynikającej z uczestnictwa w realizacji wielkiej inwestycji, przechodzą właściwie swoją pierwszą edukację w szkole nowoczesności i dyscypliny. Znacząc chłopski upór w pokonywaniu trudności, znając pracowitość szczególnie ważnej grupy budowniczych — mieszkańców Gołębia — liczyć można na pokonanie trudności towarzyszących wychowaniu załogi przyszłych „Azotów”.

Skoro mowa o budowniczych, koniecznie trzeba i o budowie. Sam teren jest odmienny — przyznać trzeba, że korzystny — od zwykle spotykanych. Kilkusethektarowa przestrzeń nadwiślańskich piaszków pościęta siecią asfaltowych dróg i szyn kolejowych pozwala poruszać się środkami transportu bez większych przeszkód. Tego na innych wielkich budowach nie było. To jest duży plus puławskich „Azotów”. Ale kłopotów nie brak. Ot, choćby taka sprawa. Dyrektor „Azotów” mgr inż. Mieczysław Kołodziej, jak też i jego zastępca, mgr inż. Zdebił, co najmniej połowę dni w roku poświęcają na wyjazdy, aby uzgodnić dokumentację. Jest paradoksem, że owo uzgadnianie trwa dłużej niż, samo opracowanie dokumentacji. Trwoni się bezcennie czas znakomitych fachowców, nie pozwala im przez to zająć się innymi problemami.

(Dokończenie ze str. 6)

Osoby, które nie miały i nie mają nic wspólnego z rolnictwem, nie mają szans nabywania gospodarstw rolnych”. (podkr. aut.).

Gdyby przestudiować raz jeszcze artykuły prasowe z ostatnich kilku lat, artykuły dotyczące problemu zagospodarowywania i zaludniania tych terenów, przypomnieć najbardziej typowe konflikty zachodzące między człowiekiem a urzędem, otoczeniem, zaryzykowałbym twierdzenie, że u ich podłoża leżało „niedopasowanie” przyjeżdżających tu ludzi do klimatu, do warunków, do specyficznych problemów, jakie niesie pustkowienie i wielokilometrowa odległość od najbliższego miasta, osady, wioski.

Niedźwiedzią przysługę wyrządono młodym ludziom nie mającym zielonego pojęcia o rolnictwie obiecując nierafasobliwie, bez poczucia odpowiedzialności, przygodę, egzotykę, dobre zarobki.

Niedorośli drwale dorobili się bąbli na dłoniach, jeśli śledzić w oczcie i ciułałi na bilet powrotny do Wrocławia, Warszawy, Szczecina. Założenie wyglądało gospodarowanie „rolników”, którzy zajmowali się dotychczas wszystkim innym, a nie rolnictwem, siali w ziemię cement, zamiast nawozów, całymi dniami trzymając niewydojone, ryczące krowy.

Powiada się: było, minęło. Stare dzieje.

Ale dlatego, że w ciągu kilku lat zebrano sporo nie najlepszych doświadczeń z zagospodarowywaniem Bieszczadów, zagospodarowaniem przez ludzi, którzy na tym się po prostu nie znali, z takim naciskiem podkreśla się, że „nabywcami” ziemi mogą być tylko te osoby, które posiadają kwalifikacje rolnicze i przygotowanie do racjonalnego prowadzenia gospodarstw rolnych”.

Osobliście wierzę, że nie kto inny, a tylko właśnie rolnicy, którzy przeszli dobrą szkołę życia we własnych, lub ojcowskich gospodarstwach, znający specyfikę pracy w terenie górskim, nie bojący się ryzyka i trudności pierwszych miesięcy i lat, mogą tu liczyć na pomyślną przyszłość.

Takich ludzi osiedla się w Bieszczadach coraz więcej, oni zdecydują w rezultacie o przyszłości tych ziem.

Co im proponujemy w roku 1963? W powiecie ustrzyckim — w Rabem, Brzegach Dolnych, Czarnej Górnjej i Dolnej 1.120 hektarów ziemi w cenie 1.500 zł. za hektar.

Zarysował się konflikt między inwestorem a wykonawcą. Wprawdzie n'c w tym dziwnego: na każdej wielkiej budowie ścierają się te dwie różne postawy, dwa stanowiska, ale — jak wieść gminna niesie — w Puławach konflikt jest szczególnie niepokojący. Co leży u jego źródła? — trudno powiedzieć. Faktem jest, iż na budowie wystąpiły już dość poważne opóźnienia w wykonaniu robót.

Tymczasem lato. W Puławach prześliznęło. W nadwiślańskich wilknach słowiki jak oszalałe z zachwytu nad własnymi treliami śpiewają przez całą noc. Miasto ubrane w bujną, soczystą zieleni przeżywa początek swego renesansu. Konary dostojnych dębów i smukłych sosen zagłębają do nowoczesnych bloków osiedla Kaniowczyków zbudowanego przez „Azoty”. Nieopodal poczciwej budy — zaszronzonego „ogólniaka” im. A. Czartoryskiego — kładzie się fundamenty pod szkołę zawodową i technikum chemiczne. Stanie nowoczesny kompleks gmachów: plastik i szkło będą dominowały wśród materiałów. Już niezadługo kombinat otrzyma przysłowiową kuźnię własnych kadr.

Kilkadziesiąt metrów od ulicy 22 Lipca — notabene wybudowanej miastu przez zakłady — już się wznoszą pierwsze cegły szkoły podstawowej nr 1, budowanej jako inwestycja towarzysząca.

A przy budowie kombinatu też lato w pełni. Słońce praży piasek i ludzi. Robotnicy wznoszą jeden z podstawowych obiektów budowy — elektrociepłownię. Wykopy pod ten obiekt tworzą olbrzymi lej wielkości bez mała Placu Litewskiego w Lublinie. Położono już kamień węgielny pod kombinat elektrociepłowni. Na razie kombinat można widzieć tylko w wyobraźni. Będzie najwyższy w Polsce — 170 metrów. Kto ma jednak dobrą wyobraźnię już go widzi, jak zwraca uwagę na Puławę, na Lubelszczyznę. A przede wszystkim — na miłą, bardzo współczesną panią — CHEMIA.



W powiecie leskim, — w Kainicy, Przystupiu, Krywem, Lisznej, Strubowiskach i Zubraczem około 90 gospodarstw.

Ponad półtora tysiąca hektarów pozostało jeszcze do zagospodarowania w powiecie sanockim.

Mama Morkowa z Jureczkowej odkryła mi kiedyś prawdę, być może oczywistą dla innych, ale nieznaną mi przez kilka lat wędrowek przez opustoszałe miejsca, gdzie kiedyś stały domy, rosły kwiaty i zboże.

Co jest w tych stronach odmiennego, wyjątkowego, takiego co raczej nie odzucha niż rozumie?

Niepokoilo mnie to pytanie. „Panie, jak ja tu przyjechałam to tu nic nie było. Góry, niebo i las. Ptaka nie było, dziecka nie było. Smutno, panie, bez dzieci i ptaków. Jak później przyjechała kobieta z dziećmi i gdy które z nich gdzieś tam przy zabawie wrzasnęło, tośmy z drugiego końca wsi leciały zobaczyć, czy mu się co nie stało”.

Dziś między stosami budowlanych materiałów, przy wykopach pod fundamenty domów kręcą się dzieci. Do wsi wróciły hałaśliwe wróble.

Więc to głosów dzieci i ptaków brakuje ludziom, którzy tu przyjeżdżają? A więc na tym chyba polega sens absurdalnego wydawałoby się nieraz, koczowania osadników w prymitywnych zastępczych barakach wspólnie z kilkuletnimi malcami?.. A więc taki dźwięk ma pojęcie, któremu ekonomiści dali nazwę stabilizacja?

Adolf Jakubowicz

## »Szczecińska« wystawa

NIE pierwszy raz wypada zwrócić uwagę na charakterystyczne zjawisko zachodzące na terenie współczesnej sztuki — na powrót do figuratywności, do przedstawiania przedmiotu realnie istniejącego, angażującego pełną świadomość twórcy. Najciekawsze, że wysiłki te czynione są przez malarzy i rzeźbiarzy młodych, którzy stosunkowo niedawno opanowali uczelnie plastyczne. Czy ta „nowa fala” przyniesie wartościowe i trwałe rezultaty — trudno w tej chwili przewidzieć, jednak zjawisko pozostaje faktem.

Oto w maju w salach BWA w Lublinie mieliśmy możność obejrzeć wystawę malarstwa i grafiki młodych artystów szczecińskich — Emilii i Jerzego Chmielewskich oraz Mirosława Purczyńskiego, ekspozycję twórczości będącej w trakcie poszukiwania własnych form i metod organizowania plastycznej płaszczyzny, zfaszowanej przedmiotem i możliwościami jego interpretacji.

Monotypie M. Purczyńskiego ukazują twórcę posiadającego znakomitą „plastyczną kolorystykę”, dający w rezultacie swobodne i czyste kompozycje, o formach inspirowanych przez świat codziennie spotykanych przedmiotów („Martwa natura II”), ujętych swoiście, przykuwających uwagę wyczuwalną statycznością. Natomiast wydłużone prostokąty olejnych płócien, o motywach rozbitych na szereg płaszczyzn o rozróżnionej kolorystyce, prowadzą na myśl podobne rozwiązania malarstwa po-kubistycznego, zarazem wskazując na pewne skłonności autora w kierunku stylizacji prowadzącej do dekoracyjności („Dziwaczyna z kontrabasem”).

Odmienny kierunek poszukiwań reprezentuje Jerzy Chmielewski, którego „Ptak” o szorstkiej fakturze i lekko przytłumionej gamie barwnej uwiadamia artystę, dla którego najważniejsza w malarstwie wydaje się być sama materia farby kontrastująca odmiennie od naturalnego światła, różne, mimo wyraźnej ich przedmiotowości.

Monotypie E. Chmielewskiej, subtelne w linii, o drobnoziarnistej i delikatnej fakturze szaro-czarnych aktów, urzekają swą lekkością i oszczędnością opracowania motywu.

„Szczecińska” wystawę określić można jako udaną i godną obejrzenia, a w szczególności należało polecać ją tym, którzy wszelkimi sposobami udawadniają dewaluację przedstawiania przedmiotu i postaci ludzkiej w malarstwie naszych czasów.

I. J. Kamiński





„Ostatni brat” B. Drozdowskiego w Teatrze im. Wępielki

## Konfrontacja ze współczesnością

ALEKSANDER  
GABRUSIEWICZ

**J**ANUSZ Oseka na łamach swego organu („Szpilki” nr 21) donosi o ciekawym wydarzeniu. Mianowicie w mieście N. (cytuje z pamięci) autor współczesnej sztuki teatralnej, po przedstawieniu tejże, osobiście przeprosza każdego widza. Pono grzeczność taka daje doskonałe rezultaty, bo widzowie nie żywią już żadnych animozji, a nawet w towarzyskiej rozmowie starają się zbagatelizować całe zdarzenie...

Nie sądzę, by Oseka akurat Białystok miał na uwadze, nie. Ale faktem jest, iż na dobrą sprawę gros tegorocznych premier węgierkowego teatru gwałtownie domaga się przeprosin. I to zarówno ze strony autora, jak i teatru. Wulgaryzując można by powiedzieć, że o ile od autorów oczekiwania można przeprosin za jakość towaru, to od teatru i za jakość i za ilość. Bo po dość długim oczekiwaniu na teatr z prawdziwego zdarzenia spodziewać się można było większej dawki współczesności w dwu ostatnich sezonach, niż cztery spektakle (dwa w ubiegłym i dwa w bieżącym). Mówiąc o teatrze z prawdziwego zdarzenia mam na myśli hasło Schillera i Jaracza: teatr żywy, aktualny i użyteczny, a więc nie obawiający się poruszać wszystkich zasadniczych problemów dnia dzisiejszego. A taki teatr nie do pomyslenia jest dzisiaj bez znacznego udziału sztuk współczesnych. Tak polskich jak i obcych. Tego oczekuje każdy, kto do teatru nie przychodzi jak do galerii figur woskowych. Tymczasem przedstawione nam utwory stanowią niewielki zaledwie wycinek obrazu współczesnej dramaturgii. Właściwie tylko dwie ubiegłoroczne pozycje zasługują na baczniejszą uwagę — „Trudna miłość” Szeligi oraz trzy jednoaktówki Mroźka (grane w jednym spektaklu): „Karol”, „Strip-tease” i „Na pełnym morzu”. Obie pozycje stanowią jakiś obrachunek ze współczesnością, przy różnym warstwie i wadze poruszanych zagadnień; obie nie pozbawione są wartości demaskatorskich. Mroźek, głównie przez negację, Szeliga również w sekwencjach pozytywnych — dają solidny obraz dnia dzisiejszego.

Aspiracje demaskatorskie mają także dwa inne utwory współczesne pokazane w białostockim teatrze: „Termitiera” Nienackiego i „Ostatni brat” Drozdowskiego, ale w obu niestety kończy się na aspiracjach, pisarstwo bowiem nie sprostało ładunkom treściowym. Obie sztuki maglowano dłu-

go, przerabiano w czasie realizacji i dramaturgicznie i reżysersko. Efekty znikome. Ideowe wartości „Ostatniego brata” zagubiły się gdzieś po drodze wśród konfliktów osobistych bohaterów. Całość ponadto skąpano, przy użyciu akordeonu, w clikwo-sentymentalnym sosie. Dziwne, ale tę właśnie sztukę pokazano na tegorocznym Festiwalu Polskich Sztuk Współczesnych we Wrocławiu. Festiwalowa publiczność przyjęła ją po sportowemu. Po sportowemu bowiem reagowano na „mocną” scenę bójkę głównego bohatera z prowodyrem czarnej reakcji (gwoździ prawdy stwierdzić trzeba, że dopingowany był bohater pozytywny). Krytycy i jurorzy natomiast byli mniej usportowieni, handicapu nie dawano i w efekcie teatr nasz na kilkadziesiąt przyznanych otrzymał za ledwie jedno wyróżnienie aktorskie. A przecież czasami teatr może pomóc autorowi. Tak było na przykład w wypadku „Inkarna” Brandysa (Wrocław), czy „Niepokoju przed podróżą” Broszkiewicza (Zielona Góra). A czasami święty Boże nie pomoże i wtedy sztuka szkodzi aktorom, a wszystko razem widzom. Nie bez słusności powiedział na tym spektaklu Gawlik, że teatr może wyświadczyć autorowi niedźwiedzią przysługę pokazując jego plód niedoskonały. Wie co mówi, bo sam pisze. Drozdowskiemu zresztą personalnie to nie zaszkodziło, bo teatr nowohucki wybronił go bardzo dobrym spektaklem „Konduktu” i „Klatki”, chociaż złośliwi przysięgają, że zaraz po wrocławskiej próbie „Ostatniego brata” zgolił brodę, zdjął okulary i przestał poznawać znajomych.

Wniosek pierwszy, jaki nieodparcie nasuwa się z powyższego: udział w takim czy innym festiwalu sztuk współczesnych jest na pewno okazją do pokazania się teatru, ale tylko wtedy, gdy zaprezentowany utwór poparty jest szerszym wachlarzem współczesnego repertuaru, jeśli stanowi wypadkową całorocznej pracy. Dowodem niech będą sukcesy innych: Ateneum. W ciągu dwu sezonów (2 sceny) — 10 premier sztuk współczesnych, Zielona Góra — trzy premiery w bieżącym sezonie, Nowa Huta w dwóch sezonach — 12 premier (dwie sceny). To mówi wiele.

Wniosek drugi. Przy całym zrozumieniu trudnej sytuacji teatru jako jedynej placówki w województwie (plany finansowe, plany widowni, objazdy) niezrozumiała wydaje się dotychczasowa polityka doboru repertuaru. Np. z niewyjaśnionych przyczyn nigdy na scenie białostockiej (jeśli nie liczyć dawno granej „Rodziny Bankroftów”) nie oglądaliśmy Broszkiewicza, nie mówiąc już o Różewiczu, Grochowiaku i młodszym. A gdzie dramaturdzy starsi: Słonimski, Witkacy, Szaniawski, Iwaszkiewicz? Nie lepiej też z dramaturgią obcą. Z niezrozumiałych względów nie ukazała się dotąd, mimo zapowiedzi, ani jedna sztuka Dürrenmatta, nie mówiąc już o Frischu, Beckecie czy Ionesco. Nazwiska te rzucam zresztą „na rybkę”, można by ich przytoczyć więcej. Z najnowszym dramatem radzieckim i

# „Niespokojne szczęście” po raz drugi

KRZYSZTOF GŁOGOWSKI

**D**ZIEŁO o silnym piętnie folklorystycznym jest trudne do odtworzenia przez obcych. Tak jest ze sztuką radziecką, przykładem mogą służyć amerykańskie realizacje klasyków rosyjskich.

Powyższa uwaga nasunęła się po obejrzeniu „Niespokojnego szczęścia” J. S. Milutina, wystawionego po raz drugi przez Operetkę w Lublinie. Utwór ten ma większość dodatnich cech radzieckich komedii muzycznych, znanych z filmu, czy ze sceny. Muzycznie bardzo dobry, posiada szereg ładnych i wpadających w ucho melodii. Libretto dobrze skonstruowane, bardzo prawdziwe, propagujące pewne pozytywne podstawy moralne. Główny bohater, pianista Andrzej Bałaszow przypomina słynnego Mieriesjewa. Kontuzjowany w czasie ostatniej wojny chce być nadal muzykiem — zostaje kompozytorem. Jego ukochana, śpiewaczka Natasza Malinina, decyduje się w pewnym momencie poświęcić swoją karierę artystyczną dla życia razem z Andrzejem na Syberii. Wszystko na szczęście kończy się dobrze. Nie brak poświęcenia innego rodzaju. Burmak — szofer, zdemobilizowany czolgiściem, chce zrezygnować ze starań o ukochaną kobietę, Nastienkę — również zdemobilizowaną sanitariuszkę, dla jej dobra. Nastia zakochała się w Andrzej, Burmak nakłania wówczas Nataszę, mimowolną rywalkę Nastii, do wyjazdu.

Ciekawe libretto ma jednak pewne dłużyzny. Szkoda, że reżyser przedstawienia, Paweł Bem, nie zdecydował się na skróty. W rezultacie tempo operetki jest za wolne w pierwszym akcie.

Rzecz dzieje się w Moskwie, w konserwatorium, i na Syberii wśród prostych ludzi. Właśnie z nimi wchodzi wspomniany element rosyjskości, który się uwidacznia w strojach, tańcach i pieśniach. Niestety w lubelskim przedstawieniu owa rosyjskość nie została pokazana najlepiej.

Niezawodne kostiumy Ewy Fabian tym razem nie wszystkie zadowolają. Powiewne, różowiatki sukienki dziewcząt z herbaciarni tylko epatują widza odslanianymi widokami, brak im odpowiedniej stylizacji. Ludowe kostiumy baletu nie są zbyt estetyczne, nie trafiają we właściwy folklorystycznie ton. Przyjemnie wśród nich wyróżniają się ubiory głównych postaci.

Będąc przy sprawie plastycznej widowiska nie sposób nie wspomnieć o dziele dekoratorów: Jerzego Torończyka i Romualda Lameńskiego. Prócz dość poprawnie zrobionych wnętrz, pokazali dwa super-kicz: panoramę Moskwy i nieprzebytej tajgi. Ponieważ nagła choroba postawiła J. Torończyka poza nawias tej sprawy, odpowiedzialność spada chyba na R. Lameńskiego.

Rozwój scenografii idzie w kierunku przeciwnym naturalizmowi i dosłowności na scenie; rozwijanie pokazane nam zostało już bardzo dawno zarzucone. Pejzaż — tło musi być poprawny artystycznie, nie każdy zaś dekorator jest dobrym malarzem.

W choreografii Jana Fabiana razita tym razem banalność układów szczególnie w pierwszym akcie, gdzie wzniosłym słowem „na chwałę ojczyzny” towarzyszyło wymachiwanie nogami — sprawiło to dość komiczne wrażenie. Układy typowo operetkowe były gorsze od tańców ludowych, chociaż i te nie grzeszyły pomysłowością. Jest to dość dziwne, bo przecież ludowe tańce rosyjskie są często wykonywane u nas bardzo pięknie przez różne zespoły.

Niektórzy tancerze operetki zbyt się oszczędzali. Niezbyt dobrze wyreżyserowano sceny tańców w herbaciarni, gdzie aktorzy stojący na drugim planie jakby zupełnie nie brali udziału w przedstawieniu — ujęcie w stylu estrady.

Muzyka i pieśni rosyjskie, tak na pozór łatwe, stawiają przed wykonawcami duże wymagania, tym bardziej, że podobnie jak tańce znane są publiczności polskiej w świetnych wykonaniach. Niestety, wykonanie partii chóralnych momentami dalekie było od nieodrodnego liryzmu i pełnogłosu. Orkiestra często zagłuszała solistów, których prawie nie było słychać, gdy dołączył się chór.

Najmocniejszą stroną przedstawienia były postaci sceniczne. Rola Nataszy Malininy została powierzona trzem aktorkom: Zofii Bronikowskiej, Felicji Jagodzińskiej i Marii Chomie, właśnie ją podziwiałem w roli Nataszy. Maria Choma gra tę rolę prawdziwie. Wrażenie potęguje dobry śpiew, najlepszy w całym przedstawieniu. Jest bardzo rosyjska, szczególnie w drugim akcie, gdzie ma świetnie dobrany strój.

Jako Andrzeja Bałaszowa widziałem Józefa Kasperskiego (gra go również Marian Josicz). Andrzej w tym wykonaniu wypadł bardzo lirycznie, a nawet nieco sentymentalnie. Przyczyna takiego potraktowania postaci leży chyba w empii aktora i w jego ładnym, delikatnym głosie. Raczej błąd aktorski i wokalnie wypadł jego operetkowy rywal Borys Olenicz, grany przez Michała Luczaka. Obaj aktorzy muszą zmienić sposób schodzenia ze sceny, nie do wytrzymania jest ten bieg przez płotki mający symbolizować pełen zaferowania pośpiech.

Bardzo miłą parę profesorów konserwatorium stworzyli Jerzy Fitio (Władimir Siergiejewicz Igonicz) wraz z Marią Bończęwską (Julia Pietrowna Bonnar).

W „Niespokojnym szczęściu” jeszcze bardziej interesujące od środowiska muzyków są typy prostych ludzi, soczyste w swojej charakterystyce. Burmak, z pochodzenia kubański Kozak, który szukał po całej Syberii swojej ukochanej, jest grany przez Henryka Łabuńskiego (dubluje Tadeusz Sosnowski). Wywiązał się on ze swego zadania świetnie, jest bardzo komiczny, wzruszający w swojej bezinteresowności, ujmujący spryciarz. W roli Nastienki widziałem Krystynę Marynowską (gra ją także Felicja Jagodzińska), świetny typ pełnej temperamenti, zakochanej młodej dziewczyny.

Kapitałną parę stanowią Jan Fabian (kierownik herbaciarni) z Janiną Góską (bufetowa). Oboje komiczni. On — stary kawaler, świetny w swej ludowości, opiera się małżeństwu, do którego chce go skłonić bufetowa, zabawna w swoich upartych, pełnych pogodnego humoru staraniach.

Te dwie pary miał uzupełniać również sympatyczny typ wesolego spryciarza, zniecałkowanego filozofującego — Siomka, pomocnik Burmaka. Niestety, to, co zademonstrował w tej roli Paweł Wojtczak, „wołało o kryminal” chciałoby się powiedzieć. Jak mógł reżyser spektaklu pokazać takie zająkliwe bęcwałstwo, szmirę w stanie czystym, granie pod publikę nie wiadomo jakiego autoramentu.

Nieumiejętność pogodzenia dwóch stylów: operetkowego i ludowego — stanowi o zasadniczym peknieniu artystycznym lubelskiego spektaklu. Szkoda, że błędy w realizacji nie dają uroczej operetce Milutina zabłysnąć pełnym blaskiem, że niezwykła dla operetki przy swojej wadze treści nie znalazła odpowiednich środków wyrazu.

amerykańskim podobnie. Powtarzam: Trudno od jednego zawodowego teatru żądać eksperymentowania, jak to czyni Teatr im. Mickiewicza w Częstochowie. Ze względu na teren, na młodzież repertuar musi być eklektyczny. Trudno. Pojmuję, a niekiedy i cieszą mnie ambicje inscenizatorskie w odniesieniu do klasyki, ale trudno sobie wyobrazić teatr współczesny bez współczesnego repertuaru.

Dobrze się stało, mimo wszystko, że kontredans dyrektorski nie dosięgnął tym razem Białegostoku. Może „nasza mała stabilizacja” coś jednak zmieni na lepsze.





JESZCZE O KONKURSIE LIST DO REDAKCJI

ostatnie tygodnie były dla prasy tygodniowej urodzajne i owocne.

Zycie Literackie w kolejnych numerach ukazuje plony swojego konkursu pod nazwą „Szkoła i ja”.

Wstrząsająca statystyka: Instytut Pedagogiki przeprowadził badania, które miały ustalić wpływ politehnizacji na wyniki nauczania.

Programy: obszerne, wyprzedzające o dwa, trzy a nawet cztery lata rozwój umysłowy dziecka.

Metody nauczania: wykład połączone z dyktowaniem do zeszytu. Materiał zbyt abstrakcyjny i nadmiar wiadomości.

Wniosek? Przystosować szkołę i program do warunków, do możliwości takiej młodzieży, jaka do szkół przychodzi.

Przegląd Kulturalny (nr 22) kontynuuje dyskusję o inteligencji społecznej artykułem M. Czerwińskiego „Odpowiedzialność inteligenta”.

„Budownictwu na wsi pomóc mogą przede wszystkim specjalnie dla niego kształcone kadry i to kadry zarówno ruralistyczne, kształcone na studiach ponadmagisterskich, kadry architektoniczne kształcone na specjalistycznych studiach magisterskich, kadry techników budownictwa wiejskiego i rzemieślników — mistrzów i czeladników.”

Z innych pozycji godna uwagi jest wypowiedź A. Kijowskiego „Jeszcze o zaangażowaniu”, nawiązująca do swiętych „Uwag o problemie zaangażowania” Jana Strzeleckiego.

„Któż więc jest zaangażowany: ten, kto zachowuje wierność sprawie, niezależnie od tego, czy jest słuszną, czy ten, kto zawsze gotów jest wybrać od niej słusniejszą i jej służyć?”

go daje się odróżnić, nawet w własnym sumieniu! A jeśli zasada zaangażowania usprawiedliwiłaby wszelkiego rodzaju odstęstwa i zdrady? Wiemy, że usprawiedliwiła, nawet jest okolicznością łagodząca. Najwyższej łagodząca: więc nie reguła etyczna, gdyż nie nie znacząca”.

W takiej sytuacji odpowiedź autora wydaje się słuszną i przekonującą:

...o zaangażowaniu można mówić tylko w ramach tego samego kryterium prawdy i moralności. Można rozróżnić komunistę zaangażowanego od komunisty niezaangażowanego i tak samo rozróżnić można stopnie zaangażowania wśród członków tej samej partii, wyznawców tej samej wiary, działaczy tej samej dziedziny.

Nowa Kultura (nr 21 i 22) przynosi szeroka replikę R. Matuszewskiego — współautora głosnej antologii poezji dwudziestolecia — swoim polemistom.

„W wielu dziedzinach i na różnych polach dokonano w poezji dwudziestolecia skoku naprzód, tak gdy chodzi o problematykę, o sferę odczuwania, jak w zakresie nowatorstwa formalnego. Dzięki Leśmianowi po raz pierwszy odkrywcze formy przybrał polski symbolizm.”

Z kronikarskiego, i nie tylko, obowiązku dodaje, że omówiony numer „Przeglądu Kulturalnego”, podobnie, jak „Nowej Kultury”, jest ostatnim.

TK

KRONIKA KULTURALNA

BIAŁYSTOK

W DNIACH 25—26 maja obradowało w Białymstoku III Plenum Zarządu Głównego Stowarzyszenia Ateistów i Wolnościowców.

W SUWAŁKACH odbyły się uroczystości ku czci Marii Konopnickiej. Z tej okazji oddano do użytku społeczeństwa Bibliotekę Powiatową Jej imienia, wybudowaną kosztem 2 mln. 400 tys. zł. ze składek SPOS. Odświeżona pomnika Poetki dokonał wiceminister kultury i sztuki Tadeusz Garztecki.

NA BIAŁOSTOCZYSZCZYNIE bawiła delegacja pracownikówoświatła z Grodna.

DRUGI OGÓLNOPOLSKI FESTIWAL TEATRÓW PÓEZJI odbył się w Białymstoku.

ZADANIA INTELIGENCJI W ROZWOJU POWIATU omawiano na Plenum Komitetu Powiatowego PZPR w Goldapie.

KIELCE

KLUB TOWARZYSTWA SZKOŁY ŚWIEC-KIJKI „Wychowanie”, w Kielcach, organizuje cotygodniowe imprezy klubowe. Udział w nich biorą znani przedstawiciele życia politycznego, społecznego i kulturalnego. Ostatnio Klub „Wychowanie” gościł literata Waldemara Babinię, dyrektora Uniwersytetu Ludowego w Rzeszowie, który mówił o roli i zadaniach aktywnego kulturalnego - oświatowego w procesie laicyzacji wsi.

W KIELCACH powstało Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Afrykańskiej.

KRAJOWA NARADA TOWARZYSTW MIŁOSNIKÓW REGIONU zorganizowana przez Ministerstwo Kultury i Sztuki oraz Wy-

Wielce Szanowna Pani Redaktor!

Z dużym zainteresowaniem przeczytałam Pani artykuł na temat eliminacji wojewódzkiego X Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego „Kamena” nr 9. Ucieszyła mnie zawartość w nim informacja o znacznym wzbogaceniu repertuaru recytatorskiego, a przede wszystkim o zdecydowanym pogłębieniu repertuaru. Jeśli idzie o teksty publicystyczne, o szerszym uwzględnieniu takich twórców, jak Czechowicz, Lesmlau i Jasnorzewska-Pawlikowska.

Uderzyło mnie równocześnie zdanie: „Na-leżałoby jedynie życzyć, by na przyszłość materiały pomocnicze, opracowywane przez poradnię lubelskiego WDK zawierały propozycje bardziej różnorodniejsze”.

Ponieważ w czasie opracowywania wyżej wspomnianych materiałów współdziałałam z LDK i znam „od kuchni” założenia redaktorów oraz trudności organizacyjne, na jakie się nатыkali — pozwólcie sobie na parę słów wyjaśnienia. Materiały na pewno nie są idealne; odbili się na nich niekorzystnie pośpiech, z jakim je redagowano, aby na czas dostarczyć zainteresowanym, oraz fakt, że opieka nad nimi (wsuwanie chorób wśród personelu LDK) przechodziła z rąk do rąk; stąd bardzo wyraźne niedopracowanie tych materiałów. Bronilibym natomiast tego, co Pani nazywa „jednostronnością, a co było świadomym założeniem osób redagujących materiały. Tego typu teksty pomocnicze nie są i nie powinny być, a jak już wskazywałam, w tych punktach, które w świetle rezultatów IX Konkursu) okazały się niewłaściwe. Takim punktem niewłaściwym była, jak wiadomo, sprawa tekstów publicystycznych, które w IX Konkursie wywoływały tyle nieporozumień. Stąd w materiałach znalazły się przede wszystkim teksty publicystyczne w pewnym sensie wzorcowe (Tadeusz Borowski i Camus — trudno chyba przeczyć, iż obaj ci autorzy reprezentują w formie nieomal doskonałej pewne zasadnicze style współczesnej publicystyki wielkiego formatu). Drugą sprawą, która szczególnie leżała na sercu redaktorom, było spopularyzowanie wśród recytatorów Leśmiana (którego rocznicę śmierci „Kamena” tak ładnie uczeli), wielkiego poety, związanego z Lubelszczyzną, a w poprzednich konkursach reprezentowanego skąpo i stale tymi samymi pozycjami („Dziwczynka”, „Odjazd”, „Urszula Kochanowska”).

Materiały pomyślane były wyłącznie jako pewien drogowy wskaz „tędy droga” — i ten moment silnie zorientowałam w całokształcie rozległej pracy instruktażowej, przeprowadzonej przez LDK z dużym — jak wynika z Pani obserwacji — skutkiem.

Z góry dziękując za zamieszczenie tych paru uwag na łamach „Kamenu”

Anna Tatarkiewicz

Warszawa, 22.V.1963

Niezależnie od naszej miliej korespondencji prywatnej wypada mi odpowiedzieć na „na łamach”. Otoż zacytowane przez Panię zdanie z mego artykułu „Pełnym głosem” związane z zaleceniem Centralnej Poradni Amatorskiego Ruchu Artystycznego, że recytatorzy uwzględniali w konkursie teksty pisarzy swego regionu, brzmiało w ten sposób: „formulowanie to nie miało skutku: recytowano u nas kilka wierszy współczesnych poetów lubelskich, które miłasta zdobyły się wręcz na literarny patriotyzm lokalny (Chelm, Zamość — a w znanego poety ludowego Bołarzewskiego, który by jedynie życzyć, by na przyszłość materiały pomocnicze opracowywane przez poradnię lubelskiego WDK zawierały propozycje bardziej różnorodniejsze”. W tym kontekście dezyderat mógł, wypowiedziany przez Panią, być jak najbardziej słuszny, a nie jak najogólniej, ma zasieg raczej skromny. Pani sama uogólniła sprawę przyciężając okoliczności usprawiedliwiające „nieodpracowanie” materiałów. Skoro tak, to niech mi weźmie mi Pani za złe, że dopowiadam, iż wybór tekstów zarówno w analogi, jak i w bibliografii, wydali mi się dość przypadkowy. Zasada „dostał się, a z tego jest oczywiście słuszną, była w się ją dostosowało konsekwentnie.

Co do właściwego nakierowania doboru publicystyki i większej popularyzacji twórczości Leśmiana, muszę przypomnieć, że pisałam o tym wszystkim obszernie już w zeszłym roku — jako o pilnej potrzebie, a w wymienionym artykule — jako o pozytywnym fakcie dokonanym, podnosząc znaczenie własnej inicjatywy recytatorów i ich opiekunów. Brak miłasta nie pozwala mi na dalsze cytaty.

Uważa, o którą pošlo, bynajmniej nie poważa powszechnego przekonania o wysokiej wartości pracy, jaką wykonuje nasz wojewódzki Dom Kultury w środowiskach lubelskiej młodzieży. Instruktorzy WDK prowadzą z dużym poświęceniem szereg pomysłowych i celowych akcji. Wystarczy, gdy tytułem przykładu wymienię stworzone na Zamku Studium Teatralne, kształcące z powodzeniem widzów, albo też zdumiewająco wysoki poziom rezultatów oslańskich w Ognisku Baletowym. Poza wszelką wątpliwością wiele cennego doświadczenia wykazują rokrocznie pracownicy Doma Kultury również i w organizacji konkursów recytatorskich.

Sądząc, iż dobrze się stało, że wymieniliśmy te listy, wydatniując co ipso macten konkursum, o których mowa w związku z ukazaniem się „Zyciu Literackim” (nr 22) ważnego artykułu o konkursach, póra wiceministra K. Rusinka, oraz ze zmiłanką Jana Szelęga w ostatnim numerze „Nowej Kultury”, przyjemnie mi stwierdzić, że „Kamena” była pierwszym piśmie społecznokulturalnym, które poświęciło specjalną uwagę doniesieniu konkursów recytatorskich w upowszechnieniu literatury (p. artykuły: „Pisarze w turnieju” w n-rze z 31 maja 1962 r. i „Pełnym głosem” w n-rze 9 rb.).

Proszę przyjąć, Droga Pani, wyrazy prawdziwego szacunku.

Maria Bechzyc-Rudnicka

Architektura polska 1959 — 1962

(Dokończenie ze str. 7)

zania funkcjonalnie udane, które wiskują na wzrastający udział prefabrykatów przy ich budowie, rozwiązania nie stokród nie wahające się przed stosowaniem współczesnych środków konstrukcyjnych, czego przykładem niech będzie Stacja Wielkiej Mocy w Instytucie Elektrotechniki w Międzyziesiu (arch. J. Kreczmar i B. Józwicki).

Wystawa architektury polskiej 1959—1962, będąca przeglądem aktualnego stanu naszego budownictwa, jest niewątpliwie dużym wydarzeniem i spełnia doniosłą rolę popularyzatorską. Można mieć nadzieję, że materiał na niej zgromadzony stanie się w środowisku architektonicznym podstawą szerszej dyskusji, wykraczającej poza problemy jednostkowe, jak miało miejsce na łamach „Przeglądu Kulturalnego” przy okazji rozpatrywania projektu Powiśla.

Kończąc, chciałbym powiedzieć kilka słów o Miejskiej Pracowni Urbanistycznej w Lublinie, kierowanej przez arch. Dylewskiego, a zajmującej coraz więcej miejsca w kraju. Z tytułu wysokiej roli, pracowni powierzono praktyczne sprawozdanie nowej metody inż. arch. Malisza z Warszawy, dotyczącej opracowania planu ogólnego miasta. Dowodem zainteresowania, jakim cieszy się wymieniana metoda, może być obszerna informacyjna, która swego czasu zamieściło znane francuskie czasopismo poświęcone architekturze — „L'Architecture d'aujourd'hui” — urbanisme”.

Unia

I. J. Kamiński